№ 25. Warszawa, dnia 10 (22) Czerwca 1878 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Numer pojedynczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3. na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwart. w miejscu złr. 2 c. 75 na prowincyi złr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart. w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Elektoralnej Nr 779 (nowy 41).

Kwestye i Sprawy.

VIII.

O pieniądzach.

(Dokończenie).

Nakoniec, po trzecie, przechodzi do ważnej, interesującej i żywotnej kwestyi drożyzny potrzeb do życia. Przy gospodarstwie pieniężnem, panującem w obecnym ustroju ekonomicznym, każdy osobnik i każda rodzina musi koniecznie wydawać corocznie pewną kwotę dla utrzymania swego bytu. Obliczenia naukowe wykazały, że najwięcej zawsze wydaje się na żywność, następnie na mieszkanie (z opałem i światłem), potem na odzienie, a mniej już daleko na potrzeby i rozrywki umysłowe. Ten ostatni fakt jest mało pocieszającym z tego względu, że potrzeby i rozrywki umysłowe bynajmniej nie są rzeczą najtańszą, ażeby znaczną ich obfitość można było pozyskać tanim kosztem, ale potrzeby cielesne i fizyczne są zawsze jeszcze, stosunkowo, znaczniejsze. Wypada wszakże mieć nadzieję, że z czasem może wydatki na potrzeby fizyczne zrównoważą się z wydatkami na potrzeby wyższe, umysłowe. Tymczasem, rzeczą jest uwagi godną, że ceny na wszystkie w ogóle potrzeby do życia ulegają ciągłym zmianom. Ponieważ jednak, od czasu wprowadzenia gospodarstwa pieniężnego, wszystkie ceny obliczają się na pieniądze, wyrażenie więc o podnoszeniu się i spadaniu cen na różne produkta i wyroby nie jest ściśle: właściwie to zmienia się wartość pieniędzy, tak że drożyzna oznacza iż pieniądze stały się tańszemi, a taniość wszelkich innych przedmiotów i towarów znaczy że pieniądze zdrożały. O ile posiadamy wiadomości o cenach w dawnych czasach i o ile sięgają nasze wspomnienia o epoce niezbyt odległej, nie ma wątpliwości że w Europie dawniej wszystko, z wyjątkiem niektórych wyrobów przemysłu, materyi, galanteryi i t. p., było tańsze, a następnie z każdym rokiem staje się coraz droższem. Niektóre szczegóły w tym przedmiocie są istotnie zadziwiające. Tak np. wiemy, że w Atenach w VI wieku przed Chr. za wołu płacono 5 drahm (1 rub. 25 kop). W czasie soboru konstancyeńskiego (1410—1418) funt wołowiny kosztował 1½ grosza teraźniejszego, a za gęś płacono 2 kopiejki. W roku 1609 u nas wóz siana kosztował 3 grosze (ówczesne) za barana płacono 10 groszy, za wieprza 2 złote, za gęś 1½ grosza, za kurę 1 grosz. Co do tych cen zresztą wypada pamiętać, że wówczas złoty (dawniej istotnie moneta złota) znaczył prawie tyleż co dzisiaj dukat, a grosz (pierwotnie srebrny) wart był około 20 groszy; zawsze jednak i tak taniość to zdumiewająca. Zbliżając się nawet do naszych czasów, każdy wie dobrze, że jeszcze przed laty 20 w Warszawie, wszystko było niemal o połowę tańsze niż obecnie. Wójcicki we wspomnieniach drukowanych w Bibliotece Warszawskiej, podaje ciekawe rachunki z czasów nieco dawniejszych, (z przed 1830 r.), gdy 200 złotych starczyło rocznie na porządne utrzymanie kawalerskie. Przytoczę tu jeszcze, z własnych wspomnień, ceny, jakie były w gub. Mińskiej około roku 1850. Korzec pszenicy kosztował tam wtedy 4 ruble, żyta 3, pud siana 15 groszy, funt chleba razowego 1 gr., funt mięsa 4 gr., funt ryby żywej 3 gr. Za parę butów płacono 1½ rubla, za robotę tużurka 5 złotych i t. p.

Zachodzi teraz pytanie, od jakich przyczyn zależy taniość lub drożyzna produktów, czyli, właściwiej, drogość lub taniość pieniędzy. Rzecz oczywista i naturalna, że jeżeli w wiekach średnich brano za pewny towar piątą lub dziesiątą część tego, co trzeba dać dzisiaj, to znaczy że pieniądz był droższy, ale także i to, że owych produktów lub towarów było więcej niż potrzebowano. Przyczyny więc dawnej taniości były: drogość pieniędzy i mniejsza ludność niż dzisiaj, a może i większa urodzajność: tyczy się to, oczywiście, produktów surowych. Że towary i przedmioty, których nie produkowano zbyt obficie, były i wtedy drogie, widzimy to np. z cen futer i drogich materyi na ubiory, które jeszcze w Warszawie za Stanisława Augusta były daleko droższe niż dzisiaj (Ob. artykuł Maciejowskiego O rzemiosłach I tom Kwartalnika Kłosów). Pieniądze zaś były dawniej droższe dla tego że ich było mniej; obliczono w przybliżeniu, że około czasu odkrycia Ameryki przez Kolumba, w całej Europie kursowało pieniędzy kruszcowych niewięcej jak na 37 milionów rubli teraźniejszych. Że jednak handel i przemysł (które koniecznie potrzebują większej ilości pieniędzy), były wówczas w upadku, jak to widać z wysokich cen artykułów zamorskich i wyrobów fabrycznych, że środki komunikacyi były zaniedbane i niepewne, jak to widać po części z nizkich cen produktów surowych, a z tem wszystkiem szły w parze i w związku nizki stan dobrobytu i oświaty, nie mamy więc powodu wzdychać do czasów owej taniości średniowiecznej. Drożyzna wszystkich towarów a nawet przedmiotów pierwszej potrzeby nie byłaby wcale dla nas straszną, gdybyśmy mieli dużo pieniędzy, to jest, gdyby ceny wszystkich produktów wzrastały, ale przytem gdyby wzrastały jednakowo i nasze dochody; nie byłoby to bowiem wcale dotkliwem np. dla urzędnika, który dawniej pobierał 300 rubli pensyi lub dla robotnika, który miał 100 rubli dochodu i płacił np. za funt mięsa 3 grosze, gdyby obecnie płacąc za tenże funt mięsa 12 kop. urzędnik ów pobierał 2400 rubli, a robotnik 800 rubli rocznej pensyi. Ztąd zasadnicza maksyma ekonomiczna:

„Podniesienie się cen na wszystkie w ogóle towary i produkta jest pocieszającym objawem i oznaką

postępu ekonomicznego, ale tylko w takim razie, *gdy jednocześnie i w tym samym*, mniej więcej, stosunku wzrasta łatwość zarobkowania i *wysokość wszelkiego zarobku*; wtedy bowiem drożyzna produktów, czyli właściwiej mówiąc, taniość pieniędzy, jest naturalnym wynikiem pomnożenia się bogactwa narodowego."

Otóż u nas właśnie brakuje tego ostatniego, zasadniczego. warunku: o zarobek coraz to trudniej i wszelka płaca nie wzrasta bynajmniej w stosunku do wzrostu cen na towary i przedmioty: dla tego to drożyzna produktów czyli taniość pieniędzy jest dla nas tak uciążliwą i jest oznaką smutnego upadku ekonomicznego. Co innego np. w Stanach Zjednoczonych Ameryki, gdzie, jak pisze Litwos do Kuryera Codziennego, prosty tragarz zarabia więcej niż u nas profesor lub literat: dla tego tam mniej dotkliwą jest drożyzna, w ogóle znaczna (trudno tam np. o obiad tańszy niż za dolara — 1 ½ rub), chociaż i tam jeszcze nie ustalił się nietylko stosunek idealnej, ale nawet przybliżonej harmonii i postęp pod tym względem jest jeszcze możliwym.

U nas więc, bądź co bądź, pieniądze są obecnie tanie, ale zkąd pochodzi ta taniość pieniędzy — czy tak wielką posiadamy ich ilość? Istotnie, posiadamy ich dużo, ale papierowych i tu właśnie wypada dotknąć jednej z nienajmniej ważnych przyczyn drożyzny, jaką jest nadmiar cyrkulacyi papierowej O istocie i znaczeniu papierowych, o ich z wielu względów pożytku nie będziemy tu mówili szczegóowo. Nadmienimy tylko, że wszelkiego rodzaju bilety pieniężne wprowadzają wiele ułatwienia do stosunków handlowych i przemysłowych, ale w ogóle bilety państwowe powinny być wymieniane w każdej chwili na monetę brzeczącą. Gdzie tego nie ma, tam wprawdzie powiększa się obieg wartości pieniężnych — bo i pieniądze papierowe są, bądź co bądź, wartością zamienną, za którą wszystkiego dostać można — ale z powodu niedostatecznej swej wartości wewnętrznej, pieniądze papierowe tracą cenę, i następstwem tego wszystkiego bywa drożyzna.

Tyle na tém miejscu zamierzaliśmy powiedzieć o pieniądzach i o błędnych pod tym względem pojęciach, u nas rozpowszechnionych.

Żal za stepem!

Kiedym na stepie żył przed lat ogromem,
Korną chyliłem skroń w wszechmocną zbrojny cześć,
A wśród przyrody sił czując się atomem,
Łączyłem z dłonią dłoń, by hołd swój Stwórcy nieść;
Posłaniem mi był lód, mroźny śnieg łożyskiem,
Pokarmem zwierząt żer, promieniem zorzy blask,
Napojem zdroje wód, trudy walk igrzyskiem,
Torem pielgrzymki ster przewodnik bożych łask.
Za rokiem mijał rok i mroczny blask słońca
Choć w łzach się bólu zćmił nie ziemnił życia dróg,
Wprawdzie gdzie sięgnął wzrok widniał step bez końca,
Lecz on mi drogim był bo ze mną mieszkał Bóg!
Dziś jam wszedł w ludzi rój co zdradnemi usty,
Szerzą niewiary prąd głusząc dziękczynną pieśń,
A czysty łaski zdrój schnie w kale rozpusty,
Którą wyradza trąd w mogilną zwarty pleśń.
Miłości nie ma już, prysł czar zgody bratniej;
W sercach wre chuci szał, za złotem goni dłoń,
Ojczystej cnoty stróż — jedyny, ostatni,
Widząc zepsucia kał, odwraca jasną skroń.
I dziś żałuję lat kiedy samotnikiem
Żyłem wśród śnieżnych gór, gdzie słońca gińie blask;
Bo choć tam dziki świat, lecz w tym świecie dzikim,
Cień biegunowych chmur nie zmroczył bożych łask.

Ludwik Niemojowski.

Obrazki Warszawskie

ułożone w trzech tomach

PRZEZ

Jana Kantego Gregorowicza

ofiarowane

Autorce Kroniki zagranicznej w Bibliotece Warszawskiej.

(Dalszy ciąg).

Przed wejściem do ogrodu otoczonego żerdzianym płotem w kilku miejscach uszkodzonym, towarzystwo akrobatów przyspasabiało się do okazania swej zręczności wzywając odgłosem kataryuki i bębna do gromadzenia się ciekawej publiczności. Wkrótce utworzyło się koło różnej płci i wieku, akrobaci rozpoczęli łamańce i wyginania, katarynka dudliła, bęben huczał, przewracano w powietrzu koziołki, chodzono na rękach, akrobaci przerzucali się jeden przez drugiego, przeskakiwali, bili po twarzy tworząc pocieszne figle a publiczność dziwiła się zręczności, śmiała, żartowała i nie spuszczała z oka skoczków, wysilających się na dowcip często gburowaty. Za każdym podobnym wybrykiem, mężczyźni śmieli się, dziewczęta skupiały się ku sobie kryjąc twarze wesołością ożywione, a mężatki gorszyły się podnosząc ramion.

— Teraz państwu, pokażemy wielkoluda, zawołał jeden z akrobatów i podsunął się do chłopca wyrostka pomiędzy widzami, zapraszając aby usiadł mu na ramionach jak na koniu.

— Ej! daj mi pan pokój, odrzekł chłopiec, ja sztuk nie umiem pokazywać.

— To też będziesz tylko siedział i nic więcej, odrzekł akrobata, jakby na koniu to cóż ci to będzie szkodzić.

— Ja nie umiem jeździć na koniu.

— To się nauczysz.

— Nie potrzebuję.

— Dostaniesz dziesiątkę.

— To niech mnie pan weźmie, odezwał się drugi chłopiec przysuwając się znęcony zarobkiem.

— Usuń się, zawołał pierwszy, to już wolę ja do sztuk należyć.

Akrobata mając chłopca na ramionach zaczął obiegać w koło szranek, skakać, podrygiwać, kręcić się co naturalnie chłopcu nie bardzo się podobało, a drugi jego towarzysz poszedł między widzów domagając się datków. Składano je dość leniwie i nawet dość skąpo, sypały się jednak trojaki i piątaki, bo każdy chciał zobaczyć zapowiedzianego wielkoluda, a stać bez zapłaty jakoś nie wypadało. Kiedy wreszcie kwesta ukończoną została, akrobata przykucnął, towarzysz jego z chłopcem stanął mu na plecach i wyprostowawszy się utworzył figurę z trzech głów złożoną. Publiczność z zapałem przyjęła sztukę, poczęła klaskać akrobaci wykrzykiwali a chłopiec krzywił się na podwyższeniu tak niespodziewanem, lękając upadku. Akrobaci nie okazywali najmniejszego na to współczucia.

— Siedź bębnie kiedy ci dobrze! wołał środkowy.

— Ale, dobrze! na wpół z płaczem odrzekł chłopiec, chodź pan na moje miejsce a zobaczysz jak mi tu dobrze.

— Toś potrzebny tam był? zapytał pierwszy od ziemi.

— A czy to ja się prosił o to?

— Nie skwiercz bębnie bo cię strząsnę jak gruszkę, ozwał się środkowy i na poparcie groźby poruszył się.

Chłopiec krzyknął, złapał akrobatę za twarz zasłaniając mu oczy, skutkiem czego ten straciwszy równowagę, zachwiał się a z nim razem i chłopiec z wielkim krzykiem pędząc ku ziemi. Publiczność rozśmiała się, kobiety tylko krzyknęły z przestrachem: chłopiec jednak nie poniósł żadnej szkody padając w sypki piasek, tylko nabawił się strachu a więcej jeszcze wstydu z tak niefortunnego zakończenia. Nie zapomniał jednak o przyrzeczonej nagrodzie.

— Niech pan teraz da dziesiątkę, rzekł pochmurzony i troszkę płaczący.

— Za co? Żeś się na koniu przejechał.

— Albo to pan koń?

— Prawda, żem nie koń tylko osieł, żem takiego niezdarę wybrał co nam sztukę popsuł. Chcesz zapłaty to chodź jeszcze raz.

— Aha! mruknął chłopiec i skrył się pośpiesznie w tłumie jakby z obawy aby go do spełnienia tego nie przymuszono.

Otoczyli go chłopcy wypytując co kupi za zarobioną dziesiątkę, a chłopiec otrzepując się mruczał, gdy nagle uczuł, że go ktoś uchwycił za czuprynę i uszy i targa co sie zmieści. Wrzasnął też całem gardłem jak opętaniec:

— Ola Boga, gwałtu rety!

Był to ojciec siedzący przy piwie w ogrodzie.

— Chciało ci się łajdaku lekkiego zarobku, łajał go popychając i szturchając, znalazłeś go, tylko szkoda że ci kości nie połamali. Przy warsztacie to mu wszystko ciężko, a tu sztukmistrzom na łeb się wdziera.

Chłopiec wrzeszczał jak opętany, chłopcy stali przy nim ciesząc się zapewne że to nie ich frycówka spotkała, a gdy tak niespodziewanie poszkodowany uspokoił się cokolwiek, przeklinając akrobatów na czem tylko świat stoi, za ich oszukaństwo, młódź zaczęła żartować.

— Ale ci się Wojtuś udało, bo to i na koniu się przejechałeś, i zarobiłeś dziesiątkę i otrzepano ci surdut z piasku na darmochę.

— Uu! idź sobie! wrzasnął Wojtuś łzy ocierając i porządkując ubranie.

— Troszkę ci z czupryną i uszami było przykro, dodał drugi wyrostek, ale co tam, za dziesiątkę zarobioną kupisz sobie maści...

— Poszedł won! wrzasnął Wojtuś rozgniewany.

— Teraz pewno Wojtuś zostanie komedyantem, odezwał się znów inny chłopiec, i ogłosi się za wielkoluda...

— Co ty mnie będziesz wielkoludem przezywać, wrzasnął Wojtuś chwytając za klapy surduta przeciwnika, jak ci zakręcę pod gardło...

— Wal go z góry! krzyknął któryś z wyrostków i silnie potrącił Wojtusia.

Chłopcy padli na ziemię, zrobił się tumult, zamęt, wrzawa, powaśnieni tarzając się zaczęli szturchać się, targać i rozpalając się gniewem byliby się na prawdę pobili, ale ktoś zawołał:

— Uciekajcie bo policyant idzie!

W jednej chwili całe grono młodzieży rozprysło się w różne strony oglądając bacznie po za siebie, a gdy przekonali się o swem bezpieczeństwie

powyciągali języki a śmielsi smyrgnęli kamieniami.

Bęben z katarynką znowu się odezwał wzywając na nowe widowisko. Ciekawi skupili się, chłopcy myszkując oczami podsunęli się i w najlepszej harmonii, jakby żadnej pomiędzy nimi nie zaszło zwady, utworzyli kupkę w pierwszym rzędzie pchając się jakby im to miejsce z prawa przynależało. Tą razą wystąpił koń spełniający rozkazy według polecenia. Był to konik niewielkiej rasy, maści myszatej, dobrze ściągnięty w pysku i ustrojony na łbie w wielkie kiściaste różnobarwne pióra. Na wezwanie sztukmistrza zwracał się, zatrzymywał, wygrzebywał nogą lata swego wieku, godzinę na zegarku, ilość dziesiątek lat widzów wskazanych przez sztukmistrza, a patrzący przyklaskiwali dziwiąc się mądrości niemego stworzenia.

— Mój Boże, co to za poczciwe bydlę, mówili słuchacze. Jak to Bóg Wszechmocny takiemu stworzeniu dał takie rozpoznanie.

— Ah! ah! wzdychały kobiety, nie jeden człowiek a przy zegarku możeby się zawstydził, a to rzuci tylko okiem, potrząśnie łbem i już wie która godzina.

— Wojtuś, szepnął jeden z chłopców, możebyś się przejechał na tym koniu. Umiesz już jeździć łbem o ziemię...

Chłopcy rozśmieli się a nawet i Wojtuś trochę zawtorował, a jeden rzekł:

— Ej! dla wielkoluda to trzebaby wielkokonia.

Wojtuś coś mruknął, obtarł nos i udał że na przymówkę nie zważa.

— Teraz mój koniku, odezwał się sztukmistrz; pokaż mi, który tu z widzów jest najstarszy?

Za potrzaskiem z bicza, konik zaczął obiegać w koło widzów, zatrzymywać się tu i owdzie jakby rozważał i namyślał się, wreszcie stanął przy jakimś szpakowatym mężczyźnie i wyciągnął ku niemu mordę.

— Poczciwy mój koniku, odezwał się wskazany głaszcząc konia. Masz tu kawałek chleba za twój rozum.

— A teraz pokaż mi dobrą gospodynię, co okruchowi chleba nie da się zmarnować.

Koń zatrzymał się przy jakiejś dostatnio choć skromnie ubranej kobiecie, ale czysto i starannie.

— A bodajcie Bóg kochał, odezwała się kobieta zadowolona ale z pewnem zawstydzeniem i mimowolnem rozrzewnieniem. A czy to patrzyłeś na mnie jak chleb szanuję?

— I okruch wart szanowania, odezwała się druga kobieta przy niej stojąca. Ja nie chwaląc się, ale zbieram każdą odrobinę i rzucę choć wróblom bo u nas kur nie ma w podwórzu.

— Pokaż mi teraz najpiękniejszą pannę pomiędzy widzami, odezwał się sztukmistrz potrzaskując biczem.

Koń bez przerwy obiegał w koło patrzących, czasami niby zatrzymał się, niby przypatrywał, sztukmistrz kręcił się, trzaskał z bicza, koń nie przestawał bieganiny, dziewczęta chichotały, udawały ukrywanie się, zasłaniały twarz, chłopcy wołali prru! prru! ale koń nic na to nie zważał, wreszcie na dany znak stanął przy swoim panu.

— Nie możesz więc znaleźć najpiękniejszej? zapytał go właściciel.

Koń kiwnął łbem na znak potwierdzenia.

— To zapewne wszystkie tu panny są piękne i w urodzie równe sobie?

Koń znowu potwierdził poruszeniem łba.

Publiczność z wielkiem zadowoleniem przyjęła eleganckie znalezienie się konika.

— Młodość to zawsze urodziwa, odezwała się jakaś dobrze podżyła imość. Jakem była panną...

— To chyba ze sto lat temu, przerwał jakiś głos z boku z nosem czerwonym jak burak,

— Proszę do nas nosa nie wtykać, odrzekła rozgniewana kobiecina zwracając się po za siebie, a ktoś dodał: bo się zapali jak zapałka.

Mówca udał że nic nie słyszy i jak w tęczę patrzył w konia, a gdy imość odwróciła się od niego, wykrzywił się pocieszenie i przyłożył połączone ręce do nosa przebierając palcami jakby grał na fujarce.

Młodzi przyjęli żart z zadowoleniem, ale starsi potrząsnęli głowami i szepnęli:

— Teraz młodzi to żadnego nie mają poszanowania dla starszych, choć starszych nawet i w piekle szanują.

— Nie byłem tam, to nie wiem, odrzekł skarcony.

— To się pan dowiesz, bo kto starszego wieku nie szanuje, to nic nie uszanuje, a takich pewno nic innego nie czeka.

— A i o cóż się pan gniewa?

— Nie gniewam się, tak tylko sobie rzekłem.

— I ja też tak tylko do siebie powiedziałem, odrzekł czerwononosy.

— No mój koniku, odezwał się sztukmistrz puszczając w bieg konia, pokaż mi tego, co nie lubi wylać kieliszka za kołnierz?

Koń po małym przestanku zatrzymał się przed owym jegomością z czerwonym nosem. Śmiech wybuchnął ze wszystkich ust, koń stojąc kiwał łbem, wskazany jegomość zmieszał się, zarumienił i jąkając się mówił;

— Kieliszkiem co prawda nie gardzę, ale jak Boga kocham nie jestem pijakiem, a jeżeli nos mam czerwony to z oparzenia.

— A czy go panu umyślnie w ukropie umaczali?

— A tak... to jest...

Śmiech ogólny zagłuszył dalsze usprawiedliwianie się, i czerwononosy zawstydzony przeszedł na drugą stronę stojąc z tyłu za patrzącymi.

— Dobrze że się wyniósł, odezwał się jeden z widzów oburzonych zaczepką postarzałej kobiety.

— Nos ma jak węgiel rozżarzony, nużby buchnął płomieniem, byłby kłopot.

— Straż daleko, aż na Pradze, dodał drugi.

— Ej! jego nos, dodał z boku stojący, to jak zapałka szwedzka, zapala się tylko od kieliszka.

— Teraz łaskawa publiczności, odezwał się sztukmistrz, złóżcie się na obrok dla konika, a na podziękowanie pokażę wam ostatnią sztukę najciekawszą.

Na potrzask bicza, koń z zawieszoną torbeczką na szyi, zaczął wolno obchodzić w koło widzów, i za każdym włożonym datkiem grzebnął nogą i łbem kiwał. Zadowolenie nie miało granic, konika ściskano, głaskano, całowano a i trojaki sypano dość obficie. Cała ta sprawa trwała dość długo, gdy wreszcie szczodrość patrzących wyczerpała się, na dany znak konik stanął na środku.

— Oj! to ty wielki teraz bogacz, odezwał się sztukmistrz, pobrzdękujesz pieniędzmi gdy u mnie pustki w kieszeni. Oddaj!

Koń odwrócił się nagle od swego pana, wierzgnął tylnemi nogami i ku wielkiej uciesze patrzących powtórzył to kilka razy.

— Nie chcesz mi oddać? zapytał sztukmistrz.

Koń potrząsnął łbem.

— No to oddaj komu chcesz, idź koniku, idź.

Koń poszedł do gromady wyrostków i zatrzymał się przed nimi, jakby czekał aby który wyjął z torbeczki pieniądze. Chłopcy nie śmieli zrobić tego, a gdy pomimo ośmielania i zapewniania sztukmistrza, że się im nic złego nie stanie, żaden się nie poruszył, Wojtuś wyciągnął rękę, koń jednocześnie wspiął się, potem wyrzucił tyłem, Wojtuś przestraszony nagle cofnąwszy się potrącił stojącego za nim jakiegoś jegomościa, brzdęknął na ziemię, a jegomość rozgniewany, że go uraził w odciski, syknął i machnął laską tak silnie że chłopiec zaczął się grajcarkiem kręcić w piasku jakby pragnął wszrubować się w niego po samą szyję.

— A to berbeć przeklęty, jęczał jegomość kulejąc; dobrze ci tak, wierć się, kręć a nie sięgaj do cudzego worka.

Chłopiec trzymając się za obrażone miejsce, powstał wreszcie z ziemi i ze wstydu i z bólu sam nie wiedział co ma zrobić. Towarzysze milczeli ale bacznie przyglądali się, czy gdzie z której strony kij do nich jaki nie wędruje, jak ptactwo zawsze czujne i zawsze gotowe do odlotu. Wreszcie sztukmistrz z koniem poszedł dalej, publiczność rozmawiając w różne rozsypała się strony, wyrostki leniwo zwrócili się ku ogrodowi, Wojtuś milczał i wypłakawszy się sapał ze złości i pomrukiwał. Młodzi zaczęli szeptać pomiędzy sobą wytykając palcami Wojtusia, który jako główny niemal aktor obu widowisk, szedł przodem nie wiedząc że ma tylu za sobą adiutantów.

— Wojtusiowi jakoś się dziś nie wiedzie, szepnął jeden.

— Nie ma szczęścia do spekulacyi, dodał drugi.

— Jeżeli mu tak pójdzie dalej, to chyba bez skóry powróci do Warszawy.

— Ej! co mu tam będzie, nauczył się komedyanctwa, to mu zarobku nigdy nie braknie. Jak mu z wielkoludem chybi, to...

Wojtuś obejrzał się i stanął w groźnej postawie:

— Ej! zamknijcie gęby, zawołał, bo jak zamaluję którego...

— Dajcie mu pokój, przerwał któryś z wyrostków, bo Wojtek już nie z jednego pieca chleb zajadał, zna co oberwać po łbie i po uszach, a i z kijem się poznał..

— Ale wiecie co bracia, przerwał jeden z najstarszych, że tego co kijem Wojtusia uczęstował, to trzeba rozumu nauczyć. Co on miał za prawo bić kogo?

— To prawda, potwierdzili chłopcy a Wojtuś chwytając się za obrażone miejsce dodał:

— Jeszcze mnie dotąd boli...

— Chodźcie bracia, spytamy się go....

— A i cóż nam z tego przyjdzie?

— Jużcić to prawda i tylko się z nas naśmieje.

— To trzeba go mieć na oku, i jak wyjdzie na drogę sprawimy mu trzepawkę.

— A jak złapie którego, bo to drab jak drąg?

— To wszyscy na niego wpadniemy i obronimy.

— A jak policyant wda się w tę sprawę?

— Albo to nie mamy nóg czy co!

— Ej! to na nic się nie zdało, ale czekajcie ja wam poradzę. Pójdziemy wszyscy hurmem za nim i jak wyjdzie na błonie zaraz z kamieniami do niego. On się obejrzy, a my krzykniemy: hura! i tak go prowadzić będziemy aż do łachy Wiślanej. Gdyby co zaszło, błonie szerokie to nas nikt nie dogoni. Chodźcie bracia, dwóch niech go pilnuje a my pójdziemy po kamienie i staniemy między drzewami na pogotowiu.

— Dobrze, dobrze, to go nauczy rozumu, potwierdzili chłopcy i rozbiegli się każdy za poleconą mu czynnością.

Stanisław z przyjaciółmi zatrzymali się także przy gromadzie ciekawych otaczających sztukmistrza, zwłaszcza że i Kubuś ze swem towarzystwem przyłączył się do przypatrujących. Mieczysław z Maciusiem stojąc opodal mało zważali na widowiska, Stanisław wmieszał się pomiędzy tłum ale nie dla sztuk akrobatycznych i rozumnego konia, ale dla przyjrzenia się dziewczętom. Dla Jana widowisko podobne było prawie nowością, radby był z niego

jak najwięcej korzystać, napatrzeć się, napodziwiać, podzielić z odebranem wrażeniem, ale zobaczywszy jak krewniak i jego przyjaciele z obojętnością na nie spoglądają, udał także że niewiele się niem zajmuje, i naśladując Stsnisława posuwał się za nim krok za krokiem, przypatrując się ukradkiem łamańcom akrobatów.

— Nie ma nic przyzwoitego, odezwał się wreszcie Stanisław wysuwając z koła i podchodząc ku stojącym na boku przyjaciołom. Same drągi i szturmaki kuchenne: pójdźmy dalej.

W ogrodzie chuśtawki i karuzele na chwilę kręcić się nie przestawały. Na stojących bujały się zarówno kobiety jak mężczyźni, a gdy pierwsze czasem krzyczały przy zbyt wielkiem wybieganiu w górę, drudzy nie zważajac na to wysilali się na wzniesienie jeszcze wyżej zapewniając swoje towarzyszki, że byle tylko dobrze się trzymały, to nic się im złego nie stanie. Stanisław podszedł ku nim i zaraz zaczepił jedną z dziewcząt bujających się zapytaniem, gdzie buciki kupuje które jej tak ślicznie nogi przystrajają. Zaczepiona zaczęła łajać, towarzysz jej rzucił przekleństwo na elegantów warszawskich, udających niby porządnych ludzi a postępujących jak ostatni szubrawcy, Stanisław się rozśmiał i poszedł do karuzeli. Liczna gromada otaczała ją: cisnęły się dzieci i kobiety a nawet doroślejsi mężczyźni, uzbrojeni w sztylety do chwytania kółek żelaznych przy grze używanych. Siedząc po większej części na koniach, wspinali się na strzemionach potrząsając lejcami i naśladując pchnięcia sztyletowe, niecierpliwie wyczekiwali rozpoczęcia zabawy.

W krzesłach siedziały dziewczęta i dzieci, z pomiędzy nich wyglądała czasem twarz starszej kobiety rozmawiającej ze śmiechem i ożywieniem za swemi sąsiadkami. Zadowolenie z ócz wszystkich tryskało i gdy starsi starali się okazywać udaną obojętność, młodzi weselili się bez żadnego hamulca, młodzież męzka hałaśliwie, dziewczęta z pewną powściągliwością.

Właściciel zebrawszy opłatę zadzwonieniem i gwizdem jak w lokomotywie dał znak ruchu: zawarczały koła, skrzypnęły tryby, ozwała się katarynka i karuzel zaczął się kręcić nabierając coraz szybszego pędu.

Stojący w koło ojcowie, matki lub przyjaciele, zważali pilnie na kręcących się, zagadywali do nich, przestrzegali, dzieci się śmiały, dziewczęta uśmiechały a młodzież udając galopowanie jeźdźców wykręcała sztyletami jak średniowieczni rycerze kopiami.

(d. c. n.)

KOCHAĆ.

Kochać! — któż pojął ten wyraz boski,
Któż pojął świętość jego znaczenia?
Kochać to dzielić bliźniego troski,
Wskazać błądzącym drogę zbawienia.

Kochać, to odczuć bóle wszechświata,
To nieskończoność zamknąć w swem łonie,
To w bliźnim widzieć i odczuć brata,
W sercu mieć uczuć bezdenne tonie.

Kochać, to zaprzeć samego siebie,
Innych pragnienia czynić swą sprawą,
To żyć na ziemi w poświęceń niebie,
Na błędy patrzeć źrenicą łzawą.

Kochać — to pojąć wielką myśl Boga,
I wznieść się duchem nad tłumy ludzi,
W sercu swem znaleźć miejsce dla wroga,
Pogrzebać wszystko co zawiść budzi.

Ach! któż miłości pojął znaczenie,
Któż objął sercem ten świat widomy?
Z uczuć nie czyniąc czcze urojenie,
Co na nas ściąga zawodów gromy.

Miłości bratnia! ty nie zawodzisz,
Ty w sobie samej masz swą nagrodę;
Jako sen płonny ty nie uchodzisz,
I dajesz szczęście — serca swobodę.

Eliza R.

WIEDEŃ I ŻYCIE WIEDEŃSKIE.

PRZEZ

Wiktora Tissot.

(Autora słynnej „Podróży do kraju miliardów".)

Streszczone przez J. B.

(Dalszy ciąg).

XIII.

O ile w Londynie niedziele są posępne i smutne, o tyle w Wiedniu wesołe i ożywione. Wszystkie sklepy i warsztaty są pozamykane, praca wszelka zawieszona, mieszkańcy strojniej ubrani, słowem całe miasto świąteczną przybiera postać. Służące hotelowe stroją się w ładne czepeczki z różowemi wstążkami, sprzedające cygara, wydostają w te dni jedyną jaką mają suknię jedwabną i wpinają broszę z fotografią męża albo narzeczonego. Po południu wszyscy mieszkańcy zamykają mieszkania i biegną rozkoszować się przyjemnościami tych dni tak upragnionych i błogosławionych przez oberżystów i restauratorów. Od rana do wieczora rozlega się wszędzie dźwięk dzwonów i szczęk szklanek, odgłos organów i dzwonienie kieliszkami, ustępy z pobożnych pieśni i zwrotki wesołych śpiewek. Wszystko tu zwiastuje że Wiedeń leży pod bramami Włoch i Wschodu, i że dolatujący ztamtąd i przejmujący go powiew, rozbudza w nim miłosne uczucia, zamiłowanie tańca i muzyki. Obrządki religijne stanowią raczej dla Wiedeńczyków rodzaj widowiska niż nabożeństwa: chodzą do kościoła jak na poranek muzykalny, którego program gazety dzień naprzód podają szczegółowo.

Ileż to razy będąc w sobotę w kawiarni, zdarzyło mi się słyszeć podobną rozmowę:

— Gdzie będziesz jutro w kościele?

— Nie wiem jeszcze. Garson! podaj no *Pressę*!

Garson podał żądaną gazetę, a Wiedeńczyk przebiegłszy prędko oczami rubrykę teatrów i koncertów, odpowiadał:

— Baronowa W. śpiewa jutro *Sanctus* u Augustyanów pójdę jej posłuchać.

W kaplicy dworskiej, w kościele Augustyanów, i u Minorytów, wykonywają wielkie kompozycye klasyczne, arcydzieła mistrzów, to też w Wiedniu każdy ma *swój* kościół tak jak *swój* teatr, a każdy kościół ma swoją publiczność, odrębną cechę i tradycye muzykalne. U Augustyanów damy stroją się w jedwabne suknie i w jasne rękawiczki, spotykamy tu panów wiernych przybytkowi Opery, prawdziwych amatorów muzyki; przychodzą tam słuchać śpiewów wykonywanych podczas *Offertorium* lub podczas *Gloria*, przez pierwsze znakomitości muzykalne arystokratycznego świata, lub przez najpierwsze artystki Opery. W uroczyste święta, chóry wykonywane są przez damy z wielkiego świata; jak tylko rozpoczyna się *solo* wszyscy bez ceremonii odwracają się plecami do ołtarza i podnosząc głowy przypatrują się bóstwom śpiewającym na chórze, które wywodząc piękne rulady, umieją jednocześnie robić piękne oczy. Słyszać ciągle wołania; bravo! bravissimo! sehr gut! a czasem i oklaski, można bardzo zapomnieć że jesteśmy w kościele. Jedni słuchacze wybijają takt nogami, inni ścicha wtorują śpiewaczce; tuż obok mnie jakaś dama z powłóczystemi oczami, zawołała nagle: „Oh! c'est admirable!" Tego tylko brakuje, aby, dla uzupełnienia obrazu, *pobożni* palili cygara. Jak tylko hrabianka L. baronowa W. lub primadonna Opery ostatni trel wyciągnie, całe to *nieprzesądne audytoryum* wynosi się z kościoła i kapłan celebrujący przed próżnemi ławkami dokończa Świętej Ofiary.

W kościele *Szkotów*, publiczność zmienia się zupełnie odpowiednio do godzin. Od szóstej do dziewiątej rano przybywają przekupki, czerstwe i rumiane jak zwykle wieśniaczki, i klęczą obok swych koszów z jarzynami; od dziewiątej do jedenastej, kościół zapełnia się paniami z arystokracyi, szelest jedwabnych sukien, zapowiada ich przybycie. W pięknym kościele Ś. Anny, różnobarwna publiczność ciągle się zmienia; jest to narodowy kościół Słowian austryackich. Towarzystwo włoskie bywa w kościele Minorytów; ten bywa najpełniejszy podczas sezonu Opery włoskiej, a publiczność złożona z zapalonych diletantów, często przy wyjściu z kościoła wyprawia artystom prawdziwe owacye.

Do kościoła Jezuitów uczęszcza publiczność elegancka, poważniejsza, wyborowa, arystokratyczna; przed kościołem pełno stoi powozów nader okazałych, należących do osób wielkiego świata. Gdy weszdłem Msza św. była już zaczęta, pod sklepieniem rozlegały się harmonijne dźwięki organów, pobożni stali lub klęczeli z kornie pochylonemi głowami; w głębi wznosił się wielki ołtarz oświetlony mnóstwem świec woskowych, z po za których ukazywała się postać N. Dziewicy, słodkiej i uśmiechniętej niby róża biała wychylająca się z ogromnego bukietu płomieni. Wcisnąwszy się stanąłem około kaplicy; tuż przede mną klęczała młoda osoba zatopiona w modlitwie, a obok niej stał poważny starzec. Po *Sanctus* młoda kobieta usiadła i zaczęła przerzucać kartki wspaniałej książki do nabożeństwa, z cizelowaną klamrą, z krzyżem i bogatemi literami z koroną. W książce pełno było obrazków ze złocistemi aureolami, jedni święci trzymali w ręku klucze, inni gorejące serca. Jeden z tych obrazków przedstawiał gołębia z różańcem w dzióbku, unoszącego się po nad wzburzonem morzem, z którego fal wyratował wpadłą w nie swoją towarzyszkę. U dołu napis: „kochać jest to poświęcać się." Kartka na której rozłożyła książkę była nieco zażółcona od częstego odwracania: stojąc za nią mogłem nieznacznie czytać przez jej ramię znaną modlitwę św. Teresy, palącą jak niebo w locie, upajającą jak wonie Wschodu.

Dotąd nie widziałem twarzy gorąco modlącej się młodej kobiety, tylko kształtną jej figurkę i śliczne jasno — blond włosy; lecz rozpoczęła się kwesta, wyjęła z kieszeni piękną portmonetkę z herbem i z koroną i odwróciła głowę aby położyć ofiarę. Jakaż to anielska była twarzyczka, jak piękne i czyste czoło, jak pogodne i przejrzyste niebieskie oczy! Patrzyłem na nią jakby na wyszłą z ram gotycką dziewicę Holbeina, jakby na piękną wiotką lilię rosnącą w bezludnej dolinie. Byłaż to żona czy córka tego starca? Ileż to poezyi mieści się w religii zdolnej wzbudzać tak gorące modły w dwudziesto letnich sercach, taką jasność rozlewać w spojrzeniu, upajać duszę i rozkołysać serce dźwiękami świętej muzyki.

O jedenastej udałem się do kaplicy w pałacu cesarskim, tam muzyka bywa tak piękna iż przy drzwiach zawsze jest tłok jak przy wejściu do tea-

tru. Na trybunach siedzą damy dworskie ubrane bardzo skromnie, a przed ołtarzem stoją gwardziści w wielkich futrzanych bermycach, aby nie dopuścić tłoczyć się do prezbiteryum. Kościołek to starożytny, pogrążony w mistycznym półcieniu, malowane szyby błyszczą jak gwiaździste niebo, obecni zachowują się poważnie, a doborowa orkiestra wykonywa często utwory oryginalne, gdyż każdy ze składających ją obowiązany jest skomponować w ciągu roku Mszę lub Oratorium.

Prawdziwej pobożności szukać trzeba pod posępnemi sklepieniami starej katedry S. Stefana, gdzie łachmany ocierają się o aksamit, gdzie biedak modli się obok bogacza. Jest to prawdziwie ludowy kościół, a lud nie muzyki ale modlitwy i Boga potrzebuje. Przy wejściu, przed obrazem Matki Bożej zwanym *Dientsboten-Muter*, klęczy ściśnięta gromadka kobiet; patrząc na ich nieruchomo wlepione w obraz spojrzenia, złożone ręce i pochylone postacie, można myśleć że są zatopione w niemem zachwyceniu. I inne ołtarze mają swoich wiernych, a damy rozdają hojne jałmużny najgorliwiej się modlącym.

Po południu, kościelna ta publiczność rozbiega się na koncerta dawane w Musikferein, w Kursalu, w Sali kwiatów, w Ogrodzie ludowym; w jednych grywa Edward Straus, w innych muzyka wojskowa. W ogóle pułki austryackie posiadają wyborną muzykę; niektóre z nich otrzymały ordery i medale na konkursach Orfeonu.

Wiedeń jest miastem przedewszystkiem oddanem muzyce. Nie posiada ani wielkich wojowników, ani wielkich mówców, ani mężów stanu, ale ma znakomitych artystów. Do rozmarzonych i nieco leniwych umysłów Wiedeńczyków, muzyka nadaje się najlepiej; nie wymaga namysłu ani wyrabiania sobie pojęć, dość zamknąć oczy i słuchać.

Muzykalna historya Wiednia, obejmuje cztery wielkie epoki: Haydn'a i Mozart'a, Bethoven'a i Schubert'a, Litz'a i Thalberg'a, i epokę współczesną (1845-1869) zwaną epoką „Odrodzenia muzykalnego.“

Jeszcze przed XVII wiekiem odbywały się na dworze wiedeńskim popisy muzykalne. Pierwiastkowo muzyka była sztuką czysto arystokratyczną; znakomite rody Schwarzenberg'ów, Lichtenstein'ów, Thun'ów, Lobkowitz'ów i Kińsky'ch, posiadały własne swoje kapele przygrywające podczas obiadu a wieczorem w salonie gdzie zabawiano się grą w karty. Haydn, większą część swoich melodyi napisał dla kapeli księcia Esterhazy a najpierwszą symfonią ułożył dla hrabiego Morzin'a. W r. 1705 kapela dworska składała się ze stu pięciu muzykantów a już w 1723 ze stu pięćdziesięciu czterech.

Marya-Teresa namiętnie lubiła muzykę; na nauczyciela muzyki dla córki swej Maryi-Antoniny wybrała Glück'a. Księżniczka ta zostawszy królową Francyi, kazała przedstawić w Paryżu utwór dawnego swego nauczyciela *Ifigenię* d. 15 Kwietnia 1774r. Na miesiąc przed przedstawieniem, Glück, myśląc o tem dziele swojem, zapomniał się i pozostał za długo w ogrodzie w Wersalu; postrzegł go patrol nocny i zaprowadził na odwach.

— Co porabiałeś tak późno w tym odosobnionym gaju? zapytał go sierżant.

— Przechadzałem się.

— Nikt nie spaceruje o tej porze, kraty już zamknięte, a pana znaleźliśmy w miejscu zamkniętem dla publiczności.

— Zaprowadźcie mnie do królowej, a wszystko się wyjaśni.

— Do królowej! powtórzył sierżant, czego mu się zachciewa, to chyba warjat! aresztować go!

Glück zaczął krzyczeć przyzywając pomocy; przypadek zrządził że Marya-Antonina przechodziła sąsiednią aleją i poznawszy głos dawnego nauczyciela przyszła dowiedzieć się o co chodzi.

Glück wydzierał się Szwajcarom którzy chcieli zaprowadzić go na odwach.

— Uspokój się, biedny mój Glück'u, rzekła, a zwracając się do żołnierzy dodała: — Zaprowadźcie go do moich apartamentów!

Powróciwszy do siebie i zastawszy samego już tylko Glück'a, wzięła go dobrotliwie za rękę mówiąc:

— Dla czego tak zapominasz o mnie? nie byłeś już tak dawno.

Ośmielony dobrocią królowej, Glück opowiedział jej swoje kłopoty, prześladowania nieprzyjaciół, zniechęcenie i cierpienia moralne.

— Bardzom szczęśliwa że cię widzę i mogę położyć kres wszelkim twoim utrapieniom, kochany nauczycielu; jutro wydam rozkaz intendentowi Opery, aby niezwłocznie kazał przedstawić twoją *Ifigenię*.

W miesiąc potem, miało miejsce pierwsze przedstawienie *Ifigenii* i piękny ten utwór muzyczny wzbudził ogólny zapał. Marya-Antonina, rozpromieniona tryumfem dawnego nauczyciela, kazała go przywołać do swej loży, aby mu ofiarować wieniec laurowy. Glück rozstrojony silnemi doznanemi wrażeniami, chwiejąc się wszedł do loży, a zobaczywszy na szyi królowej naszyjnik z rubinów, zdawało mu się że widzi pręgi krwi i zaczął krzyczeć jak bezprzytomny: Ratujcie królową! krew! krew! i upadł bezprzytomny na fotel, a Marya zerwała z szyi naszyjnik który dawny jej nauczyciel, jakby przewidując przyszłość, wziął za ślad krwi.

Kilku cesarzy austryackich było kompozytorami muzycznymi. Ferdynand III ułożył *Miserere* przechowane dotąd w bibliotece wiedeńskiej, Leopold I i Karol VI pisali także partytury.

Mozart debiutował na dworze wiedeńskim i umarł jako nadworny kapelmistrz, dnia 5 grudnia 1791 r. właśnie gdy pracował nad sławnem *Requiem* które po raz pierwszy wykonano na jego pogrzebie. Mozart liczył lat siedm gdy go ojciec przyprowadził z Salzburga do Wiednia; stanęli w hotelu pod *Białym Wołem*, ale niezadługo po małego muzyka zajechał powóz dworski, a Marya-Teresa i cesarz Józef czekali na niego siedząc obok siebie na kanapie. Mozart pobiegł prędko do cesarzowej, wskoczył jej na kolana, objął rączkami za szyję i całując w twarz zawołał: „Ach! moja cesarzowo, jakaś ty śliczna, nigdy jeszcze nie widziałem takiej pięknej kobiety.“

Marya-Teresa śmiejąc się uściskała chłopczyka, który w swej naiwności tak pochlebny powiedział jej komplement.

— No, kochany Wolfgang, rzekł cesarz, zagrasz nam coś pięknego na klawikordzie, a cesarzowa będzie odwracać karty.

— Najchętniej, odrzekł, ale cesarzowej będzie to trudno, najlepiej przywołać Wagenseil'a, który dobrze się zna na tem.

Cesarz posłał po kapelmistrza swego, Wagenseil'a i Mozart zasiadł do fortepianu; zagrał jakąś pomniejszą sztukę swego układu, gdyż już wtedy był kompozytorem. Marya-Teresa, cesarz i obecne arcyksiężne zasypały go pochwałami.

— Słuchaj, Wolfgang. rzekł cesarz Franciszek, masz wielką biegłość i doskonale wykonałeś swoją kompozycyą, ale nie sztuka grać wszystkiemi palcami i patrząc na klawiaturę, ale jeśli potrafisz zagrać jednym palcem i z przykrytemi klawiszami, będę cię uważać za małego czarodzieja.

Mozart zakrył klawiaturę i grał bardzo biegle jednym palcem.

— Bravo! bravo! zawołał cesarz, ja ci mówię że będziesz wielkim muzykiem.

Po skończonym koncercie, dwie arcyksiężniczki, Karolina i Marya, prosiły matki aby pozwoliła im pokazać małemu muzykowi wspaniałe apartamenta pałacowe, i wziąwszy go za ręce pobiegły radośne wydając okrzyki.

— A możebyśmy zabawiły się w ciuciu-babkę? zawołała Marya-Antonina gdy weszli do wielkiego salonu.

— I owszem, odrzekł Mozart, zawiążcie mi oczy.

Arcyksiężniczka wyjęła swoją chusteczkę i złożywszy zawiązała mu oczy; Wolfgang zaczął biegać, ale nieprzyzwyczajony do woskowanych posadzek, poślizgnął się, upadł i zaczął płakać. Karolina śmiała się z niego bardzo, Marya przeciwnie podniosła go, otarła mu oczy, uściskała i pocałowała; wtedy rozrzewniony chłopczyna wlepił w nią pełne wdzięczności spojrzenie, i rzekł poważnie:

— Antosiu, jesteś dobra i litościwa, czy chcesz zostać moją żoną?

Mała arcyksiężniczka tak się tem ucieszyła, iż co prędzej pobiegła do cesarzowej, wołając radośnie:

— Mamo! mamo! Mozart chce się ze mną ożenić, jak to będzie pięknie.

— Malec ma dobry gust, odpowiedziała cesarzowa śmiejąc się; upatrzył sobie wcale nie złą partyą, no przyprowadźże mi twego narzeczonego.

Dzieci przyszły trzymając się za ręce.

— Dla czego, wybrałeś Antoanetę, Wolfganku, przecież i Karolina jest wcale ładna dziewczynka? zapytała cesarzowa.

— Nie chcę Karoliny za żonę, odrzekł żywo chłopiec, przez nią upadłem i jeszcze się ze mnie śmiała; wolę Antosię, ma dobre serce, pocieszyła mnie i uściskała.

— Teraz pojmuję dla czego dałeś jej pierwszeństwo; ale, mój Wolfgangu chcąc się żenić z arcyksiężniczką trzeba się ubierać w bogate szaty.

Chłopczyna smutnie zwiesił główkę, a po chwili podnosząc ją, rzekł:

— Jestem biedny, zkądżebym wziął na tak bogate suknie jak te w jakie ubierają się książęta? Antosia musi wziąść mnie ubogo odzianego.

— Nie wiem czy się na to zgodzi, rzekła śmiejąc się Marya-Teresa, zapytaj ją o to.

Mozart zwrócił się do małej arcyksiężniczki, wziął ją za obie rączki i rzekł błagalnie. „Wszak prawda, że weźmiesz mnie takim jak jestem?“

— O tak! nie chcę innego męża, odpowiedziała ściskając go.

Ładna ta scena żywo wzruszyła cesarzową, rozśmiała się jednak głośno aby się z tem nie zdradzić.

Nazajutrz rano powóz dworski zatrzymał się przed hotelem pod *Białym Wołem*; wysiadł z niego wygalonowany szambelan, który przywiózł Mozartowi od cesarzowej przepyszne ubranie, mógł więc powrócić do swej małej narzeczonej w prawdziwie książęcym stroju.

Bethoven król symfonii w Wiedniu zakończył dni swoje. Pewnego dnia wszedł do restauracyi, przesiedział przy stoliku z godzinę zatopiony w myślach, poczem zawołał garsona pytając: Co się należy? Ależ pan nic nie kazałeś sobie podać. Ach! prawda, no to podaj mi co chcesz i daj mi święty pokój.

Gdy oszczędny król pruski zamówił u niego Mszę, pełnomocnik J K. Mości zapytał muzyka co woli: czy pięćdziesiąt dukatów honoraryum czy order. Dajcie pięćdziesiąt dukatów, odparł Beethoven.

W Wiedniu zapał do muzyki graniczy niemal z szałem: to też w całej stolicy żyli i kształcili się

artyści stanowiący chlubę sztuki muzykalnej. Umieją tu cenić nawet niezrozumiałe geniusze; w Nowej Operze pomieszczono biust Wagnera, a po Monachium i Bayreuth w jednej tylko stolicy Austryi odegrano prolog tetralogii z Niebelungów, *Walkyrye*.

Meyerbeer był w Wiedniu cztery czy pięć razy, i tam w młodych latach napisał operę w rodzaju włoskim. Sam dyrygował próbami *Proroka*. Berlioz obudził tak szalony zapał że publiczność chciała obnosić go w tryumfie. Gdy pewnego razu odegrał mistrzowsko sławną swoją symfonią *Potępienie Fausta*, jakiś zachwycony amator wpadł na estradę i pochwycił jego dyrektorską pałeczkę. Postrzegłszy to, Berlioz zatrzymał go za połę od sukni.

— Hej panie! zawołał, mogę ci darować moją pałeczkę ale nie pozwolę jej ukraść.

Zapamiętały wielbiciel oddał zawstydzony pochwyconą pałeczkę.

— No teraz, rzekł Berlioz, przyjm ją pan odemnie na pamiątkę.

Obdarowany padł mu do nóg i chciał ucałować ręce artysty, ale ten odwrócił się i odszedł. Niektórzy melomani tak o samej tylko myślą muzyce, iż nawet zwyczajne listy piszą na papierze liniowanym jak do nut.

„Ze wszystkich sztuk, mówi pani de Staël, Wiedeńczycy najwyżej cenią muzykę, co dozwala mieć nadzieję że kiedyś staną się poetami, choć teraz mają upodobania nieco za prozaiczne, ponieważ kto lubi muzykę, ten nie wiedząc o tem uwielbia wszystko co ona przypomina.“

Prosta dziewczyna bez żadnego ukształcenia, rozrzewnia się do łez słuchając melodyi Beethoven'a, którego nie zna nawet z nazwiska. Dla Wiedeńczyka muzyka jest zarazem rozkoszą i namiętnością; dla Włocha wrażeniem, dla Anglika próżnością. Pewien głęboki postrzegacz powiedział: „Będąc na Operze, Francuzka otwiera oczy, Niemka uszy, Włoszka serce, Angielka usta, gdyż Francuzka idzie na Operę dla pokazania pięknych ramion, Niemka dla własnej przyjemności, Włoszka dla kochanka, Angielka dla pokazania że ma na to. Dodać trzeba że Wiedeńka otwiera nietylko uszy ale i duszę; oddając się bezpodzielnie demonowi symfonii.

Muzyka Wiedeńska jest żywa, lekka, łatwa, elegancka, dowcipna i iskrząca a uosobieniem jej jest Straus. Przy dźwiękach jego muzyki tańczy dwór i koszary, wsie i miasta, delikatne trzewiczki i sandały, damy i służące; jest ona dostępna i zrozumiała dla wszelkich pojęć i wszelkich nóg, i dla tego stała się niesłychanie popularną. Walce Straus'a rozlegają się po najodleglejszych krańcach ucywilizowanego świata, w Ameryce i Australii, i nawet w Chinach przedzierają się po za wielki mur.

Warto jest widzieć Straus'a dyrygującego orkiestrą: raz w mojej obecności jakaś szesnastoletnia Wiedeńka zawołała z uwielbieniem: „Ach! on jest piękny jak bóstwo!“ Z pod jego wszech-potężnego smyczka wytryska zdrój upajającej melodyi i niewidzialny strumień przenika zachwyconych słuchaczy jakby płyn magnetyczny.

Straus'owie stanowią prawdziwą dynastyą królów muzyki. Podobno pochodzą z Hiszpanii, to pewna że niczem nie przypominają typu niemieckiego. Mają płeć bardzo śniadą, oczy i włosy czarne, są nizcy i muskularni.

Założyciel dynastyi, Jan Straus, urodził się d. 14 marca 1804 r. w oberży utrzymywanej przez jego rodziców na przedmieściu Leopoldstadt. Ilekroć wędrowni muzycy przybywali grać w ogólnej sali, mały Jan wchodził pod stół aby ich lepiej słyszeć, a gdy odeszli brał szczapę drzewa, prowadził po niej laseczką, naśladując w ten sposób pierwszego skrzypka. Gdy w rocznicę jego urodzin ojciec zapytał go czegoby sobie życzył, chłopczyna odpowiedział: „Ojczulku, jeśli chcesz zrobić mi wielką niesłychaną przyjemność, za którą zawsze będę grzeczny i posłuszny, to kup mi małe skrzypeczki.“

Cóż to była za radość gdy ojciec spełnił jego życzenie! Cały dzień śpiewał i tańczył, — ptaszyna dostał skrzydła. Wygrywał ze słuchu co tylko słyszał i w oberży powszechnie nazywano go małym skrzypkiem.“

W owym to czasie Francuzi po raz drugi ukazali się pod murami Wiednia: choć nie rozpoczęło się bombardowanie straszne przerażenie ogarnęło mieszkańców; każdy ukrywał lub zakopywał co miał najkosztowniejszego — naśladując innych, Jaś zakopał swe skrzypki w piwnicy. Nie długo jednak zdołał obejść się bez ukochanego towarzysza, wydostał skrzypki z ukrycia i pierwsi przybyli do oberży żołnierze, zastali go grającego walca. Wchodząc tam nie byli bynajmniej przejęci zasadą szanowania cudzej własności, ale chłopczyna czarował ich swoją muzyką, nic nie ruszyli i zapłacili za to co spożyli. Następnie przyszli grenadierowie z wielkiemi wąsami, uściskali małego muzykusa a kapitan ich przyklasnął mu głośno, mówiąc: „gdyby był w Paryżu zostałby wielkim artystą!“

Po wyjściu Francuzów z Wiednia, ojciec Straus'a rzekł do niego: teraz obecność twoja jest zbyteczną w oberży, czas już abyś się uczył jakiegoś rzemiosła. Czemże chcesz być?

Przerażony surowym tonem ojca, chłopczyna zaczął drżeć i nic nie odpowiedział.

— No! zostaniesz introligatorem; umówiłem się o warunki, w przyszły tydzień oddam cię na naukę.

Introligator któremu Janka oddano do terminu, był fanatycznie rozmiłowany w swoim fachu; stawiał go po nad wszelkie inne, uważał za wielkie i wzniosłe posłannictwo za które w przyszłem życiu wielkie czekają nagrody. Stawiając przed młodym uczniem tygiel z klajstrem, rzekł poważnie: „drukarz oddaje niby przysługę autorowj, ale nic to w porównaniu z introligatorem. bo pomimo wydrukowania niktby nie czytał nie złożonej i nie oprawnej książki, a tego tylko introligator dokonać potrafi.“

(*d. c. n.*)

Gawędy naukowe.

Nowy rodzaj fortepianu. — Historya tego wynalazku. — Koncert Juliusza Zarębskiego w Paryżu.

Dzienniki paryzkie podają bardzo liczne artykuły i sprawozdania o nowym wynalazku, który tak w konstrukcyi samychże fortepianów, jakoteż i w grze na tym instrumencie, oraz pisaniu nut i kompozycyi, nawet w nauce gry fortepianowej, radykalne zmiany wprowadzić musi.

Fortepian o którym mówić mamy, jest zupełnie odmiennej budowy, posiada bowiem dwie klawiatury. Pierwszy koncert na nim odegrany w Paryżu wysokie wzbudził zajęcie w całym muzykalnym świecie. Dla nas to zajęcie tem większem być powinno, gdyż wynalazca jego jest tak dobrze znany u nas i stale w Warszawie mieszkający znakomity artysta p. Józef Wieniawski, a pierwszy który zapoznał świat muzykalny z tym nowym instrumentem i świetnie okazał jego zalety; był młody nasz fortepianista obecnie przebywający w Paryżu, Juliusz Zarębski.

Dawniej jeszcze p. Wieniawski rozmyślał nad tem, że zupełnie jednaka budowa rąk ludzkich, powinnaby być uwzględnioną i w budowie fortepianów, że gdy prawa ręka ma ton niższy pod wielkim palcem, a wyższy pod małym, i lewa toż samo miećby powinna; ale ku temu inną należałoby urządzić klawiaturę, nie taką jak teraźniejsza, ale na wspak, to jest w którejby tak samo i dla lewej ręki ton niższy był pod wielkim palcem a wyższy pod małym. W takich dopiero warunkach lewa ręka mogłaby dojść do tej samej biegłości co prawa, a nadto przy szczęśliwej kombinacyi dwóch klawiatur, otworzyłoby się dla fortepianistów nowe, nieznane a obszerne pole dla działalności i nowych kombinacyi harmonijnych, tem więcej pożądanych, że już według zdania Liszta, fortepian wyrzekł swe ostatnie słowo i dalszej przed sobą nie ma już przyszłości.

Jeszcze w zaprzeszłym roku dyskutował p. Wieniawski o swym projekcie z pp. Comettant i Mangeot, właścicielami wielkiej fabryki fortepianów w Paryżu, i dziś doprowadzili go oni do skutku. wyrabiając według tych wskazówek instrument pod każdym względem doskonały, jak to wszystkie dzienniki paryzkie utrzymują.

Według dziennika *Patrie*, nowy ten fortepian posiada dwie klawiatury, jedna nad drugą położone. Dolna jest zupełnie taka jak dzisiejsza, górna zaś zbudowana na opak, to jest tak, iż postępując od lewej strony ku prawej, tony zniżają się. Zatem ton najwyższy klawiatury górnej odpowiada najniższemu tonowi klawiatury dolnej i na odwrót. Każda więc ręka może jednocześnie dotykać klawiszów obu klawiatur, do czego dziś potrzebuje jeszcze arpedzijów i skoków.

W Styczniu bieżącego roku już p. Comettant, przyjaciel i wielbiciel p. Wieniawskiego, donosił mu że fortepian według jego pomysłów został wykończony w ich zakładach, i prosił go aby przyjeżdżał do Paryża i przygotował się do występów na nowym tym instrumencie podczas wystawy. Ale p. Wieniawski dla rozmaitych powodów tak prędko wyjechać nie mógł, zatem pp. Comettant i Mangeot zwrócili się do p. Zarębskiego bawiącego w Paryżu i ten zamknął się na parę miesięcy, sam na sam można powiedzieć, z nieznanym sobie instrumentem, dopóki nie poznał wszystkich tajemnic jego, do tego stopnia, że dziś zdumiewa cały Paryż mechanizmem na tym fortepianie, a dziennikom braknie słów na pochwały. Jeden z nich, *Le Soleil*, powiada że p. Zarębski na tych dwóch klawiaturach grał tak biegle i dzielnie, jakby od urodzenia grał tylko na tym instrumencie.

Zarębski na pierwszym koncercie wystąpił z fantazyą własnego utworu, przytem odegrał dwie wielkie transkrypcye: Taniec Sylfów Berlioza i Webera uwerturę do Oberona. Ponieważ dziś jeszcze on jeden tylko zna ten instrument i jeden gra na nim, zmuszony więc jest komponować specyalnie dla tego fortepianu, jakoteż i robić transkrypcye, aby wzbogacać swój repertuar. A musi się on powiększać, bo p. Zarębski zaangażowany został na cały czas trwania wystawy, do dawania koncertów na fortepianie tej konstrukcyi, raz na tydzień w pałacu na Trocadero.

Ma on przytem niemało zajęcia z tego powodu, gdyż cały świat artystyczny paryzki, pragnąc zapoznać się z tym fortepianem, spieszy do niego żądając lekcyi i objaśnień.

Koncert pierwszy poprzedzony był przemówieniem p. Comettant, który szczegółowo objaśniał zebranych, o znaczeniu i doniosłości nowego wynalazku, poczem Zarębski usiadł do fortepianu i odegrał cały program, techniką i bogatą harmonią olśniewając wszystkich słuchaczy. A byli tam, jak opi-

sują dzienniki, starzy profesorowie i muzycy, jak Hertz, Marmontel, Kątski i młodzi, jak Martucci, wielu profesorów konserwatoryum, p. Reber członek Instytutu, kompozytorowie, krytycy, redaktorowie najpoważniejszych dzienników, wydawcy muzyczni i korespondenci gazet zagranicznych.

Dnia 28 Maja Zarębski miał dać koncert na nowym fortepianie w *Théâtre des Italiens*, na cześć mistrza swego Liszta, który miał przybyć do Paryża.

Przemówienie p. Comettant, o którem wspominaliśmy, było zamieszczone w dzienniku *Patrie*. Jakkolwiek ciekawe, nie mamy jednak dość miejsca aby je zamieścić chociażby w części. Należy jednak zaznaczyć, że mówca wyraził przekonanie, iż nowo wynaleziony fortepian w krótkim czasie usunie dotychczasowe fortepiany i zmieni cały system gry na tym instrumencie. Po skończonym koncercie zdanie to podzieliło wielu słuchaczy.

W końcu przemówienia p. Comettant połączył w jedno imiona Wieniawskiego i Zarębskiego. Ostatniemu oddał słowa gorącej pochwały za świetną grę jego i pracę podjętą około uwydatnienia wynalazku, panu Wieniawskiemu zaś przyznał bezstronnie pierwszą myśl całego projektu, wymieniając go jako pierwotnego wynalazcę.

Co do nas, to podwójnie zajmować i cieszyć nas powinno to nowe udoskonalenie, gdyż nie mały zaszczyt naszej sztuce przynosi.

Przegląd literacki.

Wydawnictwa historyczne i pamiętniki. 1) Dziejopisarstwo polskie wieków średnich, dzieło prof. H. Zeissberga, przekład z niemieckiego (pod redakcyą A. Pawińskiego) 2 tomy. Warszawa 1876. 2) Źródła dziejowe. Tom III. Stefan Batory pod Gdańskiem (1576—1577), listy, instrukcye i uniwersały, wydał A. Pawiński. Tom IV. Początki panowania Stefana Batorego (1575—1577), listy, uniwersały i instrukcye wydał A. Pawiński. Tom V. Lustracye królewszczyzn w ziemiach ruskich Wołynia, Podola i Ukrainy, wydał A. Jabłonowski. Tom VI. Opis zamków ziemi wołyńskiej, wydał A. Jabłonowski. Warszawa 1877. 3) Opowiadania i studya historyczne przez K. Jarochowskiego. Warszawa 1877. 4) Stefana z Prószcza Medekszy, księga pamiętnicza wydarzeń zaszłych na Litwie 1656—1668 r. z rękopismu wydał dr. Seredyński. Kraków 1875. 5) Biblioteka Ordynacyi Krasińskich. Muzeum Świdzińskiego. Tom III. Pamiętnik Jana Stanisława Poczobuta Odlanickiego (1640—1658). Warszawa 1877. 6) Obrazy z życia kilku ostatnich pokoleń w Polsce przez Juliusza Falkowskiego. Poznań 1877. 7) Pamiętniki z wojny hiszpańskiej (1808—1814) Stanisława Brockere, b. oficera b. legionów francuzko polskich, przełożone z oryginału niemieckiego przez córkę autora Paulinę Cybulską. Warszawa 1877. 8) Listy Słowackiego do matki, tom II. Lwów 1877.

(Dalszy ciąg).

Przystępujemy teraz do bardzo ważnego i cennego wydawnictwa Źródeł dziejowych, które, pośród obecnej posuchy na dzieła poważne, chlubnie podtrzymują ubogą gałęź literatury historycznej. O pierwszych dwóch tomach tego wydawnictwa była już dawniej mowa w Tygodniku; obecnie mamy tomy trzeci, czwarty, piąty i szósty, ważnością i bogactwem treści daleko wyższe od dwóch poprzednich. W tomie trzecim zebrane są dokumenta historyczne, tyczące się wojny Batorego z Gdańskiem, który sam jeden nie chciał uznać nowoobranego króla. Ciekawy ten ustęp z dziejów pierwszych lat panówania Stefana, skreślony został żywo i umiejętnie przez p. Pawińskiego w obszernym wstępie, zawierającym streszczenie pomieszczonych w książce dokumentów.

Te ostatnie są przeważnie ułożone po łacinie; wydawca wziął je z rękopiśmiennej księgi poselstw kanclerza Zamojskiego; niektóre jednak były już przed laty wydane w przekładzie polskim przez Raczyńskiego. Sprawa gdańska niezmiernie jest ważną dla historyków i badaczów, jako jeden z pierwszych symptomatów rozkładu kwitnącej jeszcze Polski, jako jeden z najwcześniejszych dowodów obojętności szlachty na dobro kraju i zarazem jako piękny rys żelaznej energii i mocy charakteru króla Batorego. Wiadomo, że przeciwnicy Stefana obrali królem cesarza niemieckiego Maksymiliana, popieranego przeważnie przez Litwę i Prusy, a chociaż Maksymilian wkrótce umarł, miasta pruskie, a w końcu sam już tylko Gdańsk nie chciał jeszcze uznać Stefana; Gdańszczanie nie cofnęli się nawet przed zbrojnym oporem. Dziwne, to zapewne zjawisko: zbrojny opór jednego, chociaż bogatego i handlowego miasta, królowi dwóch połączonych, rozległych i potężnych jeszcze naówczas krajów. Prawdziwą przyczyną tego osobliwego wypadku były zapewne po części i żarliwość desydencka Gdańszczan i niemieckie ich sympatye, być bardzo może iż dumni i spanoszeni mieszczanie powzięli myśl dobić się niepodległości, ażeby utworzyć na granicach Rzeczypospolitej przedni posterunek germanizmu; niedarmo przecie szukali i znaleźli do walki z królem zbrojną i pieniężną pomoc u niektórych książąt Rzeszy niemieckiej. Gdańszczanie zawiązali nawet stosunki z nieprzyjaznymi dla Rzeczypospolitej jej sąsiadami i sprawa stawała się bardzo niebezpieczną; z małej na pozór iskry mógł powstać wielki pożar. Niebezpieczeństwo to pojął i ocenił należycie bystry umysł Batorego i całą swą niezłomną energią, cały swój geniusz wojskowy król zwrócił na pokonanie oporu Gdańska. Ale w tej właśnie sprawie — smutno wyznać, natrafił na obojętność, niechęć, a nawet opór szlachty, niechętnie uchwalającej podatki i żołnierza, przede wszystkiem zaś, nawet w owej ważnej chwili (a nawet, jak zwykle, największej właśnie w epoce koniecznych i energicznych przedsięwzięć swych królów), zazdrosnej o swoje swobody i niechętnej wzrostowi władzy królewskiej. Napotykając takie trudności, Batory przez całe dziewięć miesięcy traktował z Gdańszczanami, a drugie dziewięć miesięcy upłynęło zanim miasto zostało poskromione! Gdańszczanie musieli wiedzieć o tych trudnościach, gdyż w układach z królem stawili się hardo i pomimo wszelkiej powolności Batorego, sami takowe układy zerwali. Na sejmach toruńskim i warszawskim uchwalenie pieniędzy na wojnę szło oporem; nadto szlachta nie chciała zezwolić na pospolite ruszenie, na zasadzie jakiejś dawnej konstytucyi, która pozwalała używać pospolitego ruszenia jedynie przeciwko nieprzyjacielowi zewnętrznemu, za jakiego Gdańska uważać nie chciano. Wreszcie zebrano nieco zasiłku, do którego przyłożyło się znacznie duchowieństwo, za staraniem biskupa kujawskiego Karnkowskiego; jednakże już wtedy zastawiono klejnoty koronne niejakiemu Rokosowskiemu za 70,000 złotych. W kwietniu 1577 r. wojska królewskie, pod wodzą Zborowskiego, odniosły zwycięztwo nad Gdańszczanami, którzy jednak mieli w tej potyczce więcej wojska, bo 5000, wówczas gdy Zborowski miał zaledwie dwa tysiące. Wszelako wypadało jeszcze oblegać Gdańsk od strony lądu i morza; tu nowe trudności, gdyż Batory nie miał ani floty, ani nawet dostatecznej liczby dział, przy ciągłym nadto braku pieniędzy. Niezłomnej tylko energii tego króla powiodło się jako tako stworzyć flotylę i prowadzić oblężenie, pomimo niechęci szlachty pruskiej dbałej o swoje żniwa i pomimo licznych próśb o urlopy i o całkowite rozpuszczenie do domu szlachty, na zasadzie jakiegoś znowu dawnego postanowienia, według którego pospolite ruszenie wracało do domów po pierwszem odniesionem zwycięztwie. Pięć miesięcy oblegał Batory Gdańsk, aż wreszcie w grudniu 1577 r. Gdańszczanie poddali się, zachowując wszystkie swoje prawa i przywileje; tryumf niebardzo był świetny, a cała sprawa wykazała niemoc władzy wykonawczej i niezgodność szlachty z królem, tak przynajmniej dzisiaj, w oczach naszych, przedstawia się ta sprawa, której rysy najbardziej charakterystyczne przytoczyliśmy powyżej w krótkości. Taki stosunek króla do szlachty przyniósł jeszcze zgubniejsze owoce w dalszych latach panowania Batorego i nieraz jeszcze później.

Tom IV zawiera dalszy ciąg dokumentów, wziętych z tej samej co i powyższe księgi kanclerskiej Zamojskiego i ściągających się do tych samych pierwszych dwóch lat panowania Stefana Batorego. Z wyjątkiem trzech czy czterech, wszystkie te dokumenta są poraz pierwszy wydrukowane; jedne są po łacinie, inne po polsku (prześliczną złotego wieku polszczyzną) a kilka — po rusku. Oprócz pomniejszych rozporządzeń, listów i t. d. są tu dokumenta, tyczące się pojednania króla z panami litewskimi, zabezpieczenia od swobód; ciekawe uniwersały królewskie do sejmów i sejmików, wystawiające poświęcenie króla dla Rzeczypospolitej, wykazujące niebezpieczeństwa wewnętrzne i zewnętrzne; dalej listy do carów perekopskich i od nich; wreszcie dokumenta tyczące się jeszcze sprawy gdańskiej i — najważniejsze ściągające się do synodu piotrkowskiego (1577). Tej ostatniej sprawie — synodowi piotrkowskiemu — poświęcił wydawca ciekawą i ważną rozprawkę wstępną, którą tu pokrótce streścimy.

Myśl zwołania duchowieństwa polskiego na sobór powszechny narodowy powstała i ciągle była podnoszoną, lecz pozostała bez urzeczywistnienia za panowania Zygmunta Augusta. Takiego soboru czyli synodu pragnęło duchowieństwo dla obwarowania i odzyskania swoich przywilejów, mocno przez reformę religijną nadwątlonych, ale najbardziej pragnęli desydenci, którzy spodziewali się że im uda się załatwić na synodzie spory religijne i utworzyć narodowy kościół polski niezależny od Rzymu. Był czas że król i prymas Uchański sprzyjali tej myśli, ale legat papiezki Commendoni ją stłumił. Pomimo to wołano ciągle o synod krajowy, tem bardziej że i sobór trydencki wyraźnie nakazywał zwoływanie synodów miejscowych co trzy lata. Nie przyszedł wszakże synod do skutku, z powodu sprzeczności interesów rozmaitych stron, które go pragnęły i z powodu chwiejności pod tym względem samych dostojników kościoła a wyraźnej niechęci Rzymu i oddanych mu całkiem biskupów jak np. kardynała Hozyusza. Tymczasem przed elekcyą króla Henryka stanęła w Warszawie 1573 r. pamiętna uchwała — pierwsza tego rodzaju w Europie — zabezpieczająca wolność wyznania i pokój wszystkim desydentom; piękny ten akt uchwalono pod świeżem wrażeniem rzezi św. Bartłomieja w Paryżu, powołując na tron księcia, który w tej rzezi brał czynny udział. Zaniepokojone tym aktem tolerancyi i uszczupleniem swych prerogatów i jurizdykcyi znacznie ograniczonych i zmniejszonych od sejmu piotrkowskiego 1564 r. do sejmu toruńskiego 1576 roku, duchowieństwo wznowiło myśl o synodzie, popierali ją prymas Uchański i biskup kujawski Karnkowski; zgodziła się nań i stolica Apostolska

i wreszcie synod przyszedł do skutku w maju 1577 r. w Piotrkowie. Prezydował na nim nuncyusz papiezki Wincenty Laureus biskup Montisregalis, który także zapobiegł, ażeby nie wszyscy biskupi polscy byli na nim obecni i żeby tym sposobem synod nie miał cech narodowego soboru. Obrady synodu były krótkie, ale postanowienia jego wielce ważne.

Ogłoszono za obowiązujące w Polsce uchwały soboru powszechnego trydenckiego; upomniano się o zwrot dawnej juryzdykcyi, dawnych dziesięcin i dochodów i wreszcie, co najważniejsza, ogłoszono warszawski akt tolerancyi 1573 r. za nieważny i niebyły, grożąc klątwą wszystkim, którzyby jeszcze trzymali się tego aktu. Król Stefan Batory, który i zkądinąd był dobrym katolikiem, musiał wtedy szczególniej rachować się z duchowieństwem, które mu wtedy właśnie złożyło znaczny zasiłek na wyprawę gdańską; gdy mu więc przedstawiono uchwały synodu do potwierdzenia, przyjął je łaskawie; wszelako co do przywrócenia dawnych dziesięcin i juryzdykcyi, dał odpowiedź wymijającą, pozostawiając rzecz do decyzyi późniejszych sejmów, a co do aktu tolerancyi, przypomniał wyraźnie, że na zachowanie takowego wykonał przysięgę i że nie jego jest rzeczą godzić przeciwieństwa w wierze. „Piękna ta odpowiedź“ królewska, dana kanonikom Solikowskiemu i Powodowskiemu, znajduje się umieszczoną w książce, o której mówimy (pod N CXXIII) i jest niezbitym dowodem światłej tolerancyi Batorego, który umiał odłączyć interesa religii od przesadnych roszczeń duchowieństwa i nietolerancyjnego zelotyzmu. Wszelako później król nie mógł przeszkodzić temu, że uchwały piotrkowskie były potwierdzone na sejmie następnego roku i stały się wskutek tego powszechnie obowiązującem prawem. Duchowieństwo katolickie na nowo weszło w używanie dawnych przywilejów i oświadczyło się za nietolerancyą względem dysydentów, co, jak wiadomo, pod Zygmuntem III i później, przyniosło opłakane owoce dla przyszłości kraju. Pod tym względem synod piotrkowski, zapomniany, a nawet rzadko wspominany przez historyków, był wypadkiem wielkiej, acz smutnej doniosłości.

(d. c. n.)

OBRAZY
na Wystawie Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych
W WARSZAWIE.

Za kimże to dąży przez stepy rycerz nieustraszony:
Ej, ty na szybkim koniu gdzie pędzisz kozacze?
Czyś zaoczył zająca co po stepie skacze?

Ah! on pędzi na „Odbicie branki,“ p. Masłowskiego, i skrada się, kędy dziki Tatar strzeże przywiązaną do konia ukraińską dziewczynę. Księżyc, podobyn... pomarańczy, oświetla tą scenę. Mówiąc szczerze dla takiej branki, chybaby się Tatar nawet nie trudził, ani rycerz po nią nie skradał... Z dziwną apatyą drzemie ona sobie stojąc, a księżyc — różne bo przechodzi odmiany, ale w takiej jaką go tam spotykamy, chyba nigdy nie bywał i nie będzie. A koń, a jeździec... Więcej pracy! zmuszeni jesteśmy powtórzyć za jednym z oceniających to dzieło... koniecznie więcej pracy, studyów z natury i staranności.

Cztery widoki Kaukazkie p. Zankowskiego, są to prześliczne studya na słonecznym kolorycie w górach. Prawda, poezya i wdzięk zalecają te istotnie artystyczne utwory.

Wystawa obrazów Kostisa liczną ściąga publiczność, a głównie przed „Pobór do wojska,“ rzecz pomyślaną znakomicie, oddaną szczęśliwie i z uczuciem. Jest to smutna chwila pożegnania rekrutów z rodziną — stroskani rodzice (śliczne postacie starego wieśniaka i jego żony, pełne bólu, i wyrazu) krewni, przyjaciele, gapie wreszcie, których nigdy nie zbraknie, otaczają nowozaciężnych, patrzą ku nim ze łzami, współczuciem, lub bezmyślnem zaciekawieniem. Ale ktoś spogląda z szyderstwem i tryumfem, oto garbus, pierwszy raz w życiu wdzięczen naturze która go upośledziła, z uśmiechem złośliwym mierzy oczyma tych dorodnych, tych pięknych młodzieńców, co teraz chętnieby może zmienili swą postać na jego połamaną i szpetną. Uśmiecha się i szydzi ów poniewierany garbusek dumny i rad swemu przywilejowi — Herostratowska ambicya mu z oczu błyska — a kto wie, może jaka nadzieja, że gdy młodzi i dorodni wyginą, przyjdą czasy ceny i na ułomnych, i w obec piękności parafialnych, i on bez rywala znajdzie swe szczęście?... W ogóle obraz ten zajmuje myślą. i szczegółami, i robi sympatyczne wrażenie.

Talent Kostisa nadawał się głównie do typów ludowych i swojskich. Jego staruszki, wieśniacy, żydzi, oddani z niezmierną prawdą. Straganiarka oskubująca kurę z amatorskiem zacięciem, posiada zalety mogące ją postawić obok tysiąca podobnej treści obrazków Van Mieris' a, Van der Veera, i t. p. Ale „Judyta,“ choć ładna, choć ma oczy i włosy krucze, nie robi na nas wrażenia bohaterskiego, i nie znajdujemy w niej ani śladu grozy, jaka musiała przecież przejmować jej kobiecą istotę na widok morderstwa na bezbronnym, aczkolwiek wrogim jej Holofernesie. W „Bachantce,“ też nie możemy dopatrzyć owego bachicznego szału, z którym składała libacye Bogu swemu — gdyby tylko owa przystojna osóbka była cokolwieczek mniej... dekoltowaną, wzięlibyśmy ją za współczesną zupełnie wychylającą wprawdzie bachiczny napój, ale z fabryki firm znanych Roeder'a et Com.

„Krzyż na stepie,“ p. Kleczyńskiego, jest to pierwsza praca artysty, znamionująca istotny talent, i pewien dar zręcznego pomysłu. Wśród tumanu mgły i śnieżnej zamieci, z trudem i trwogą zmęczone konie ciągną saneczki — w około głucho i pusto — a śnieg pada, a tuman się sroży... strach jadącemu. Wtem konie skręciły, a z pomiędzy mglawych fal, krzyż się wynurza — chwałaż Bogu! drogi to pewny znak — podróżny ocalony. Zręczność pomysłu ocala także początkującego artystę—krajobraz trochę niewyraźny, no, wszak to dzień śnieżnej zawiei — konie trochę fantastycznych kształtów, ba! tak się w tumanach dłuży i przemienia...

Wszystkie niedostatki mają się czem wytłomaczyć, a my zaś pewni jesteśmy, że artysta przedstawi nam coś o słonecznej pogodzie nie potrzebując posługiwać się nocą i zamiecią.

Od Redakcyi.

Tygodnik Mód i Powieści jak i Przyjaciel Dzieci, w przyszłym kwartale 1878, wychodzić będą pod temi samemi co dotąd warunkami. Upraszamy o wczesne nadsyłanie należytości prenumeracyjnej *wprost do Redakcyi*, gdyż tylko tym jedynie sposobem dalsze przesyłanie pism bez zwłoki następować może.

Prenumerata wynosi:

NA TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

w Warszawie **Kwartalnie rs. 1 kop. 80.**

Na Prowincyi i w Cesarstwie z ekspedycyą i przesyłką pocztową:

Kwartalnie	**rs. 2 kop. 50**
Półrocznie	**rs. 5**
Rocznie	**rs. 10**

NA PRZYJACIELA DZIECI

w Warszawie **Kwartalnie — k. 75.**

Na Prowincyi i w Cesarstwie z ekspedycyą i przesyłką pocztową:

Kwartalnie	**rs. 1.**
Półrocznie	**rs. 2.**
Rocznie	**rs. 4.**

Nizką tę cenę pomimo zwiększenia kosztów wydawnictwa, utrzymujemy bez zmiany, aby prenumeratę pisma uznanego już w swej użyteczności, zrobić przystępną dla każdej rodziny.

Adres do **J. K. Gregorowicza, Redaktora Tygodnika Mód i Powieści i Przyjaciela Dzieci, w Warszawie** *ulica Elektoralna Nr. 779 (41 nowy).*

Zaś od d. 1 Lipca r. b. adresować należy: **ulica Chmielna Nr. 1530 (20 nowy).**

Tygodnik Rolniczy, pismo wszystkim gałęziom rolnictwa poświęcone, którego celem jest popularyzowanie nauki rolniczej, zaznaczanie wszelkiego postępu w produkcyi rolniczej i zwierzęcej, jak niemniej zaznajamianie ogółu ze stanem ekonomicznym kraju. W kwartale III r. b. wychodzić będzie pod temiż co dotąd warunkami.

Prenumerata wynosi:

NA TYGODNIK ROLNICZY

w Warszawie **Kwartalnie rs. 1 kop. 20**

Półrocznie	**„ 2**	**„ 40**
Rocznie	**„ 4**	**„ 80**

Na prowincyi i w Cesarstwie z ekspedycyą i przesyłką pocztową:

Kwartalnie	**rs. 1**	**kop. 50**
Półrocznie	**„ 3**	**„ —**
Rocznie	**„ 6**	**„ —**

Przesyłając pieniądze prosimy adresować: do *Redakcyi Tygodnika Rolniczego w Warszawie ulica Elektoralna N. 41*, zaś od dnia 1 lipca r. b. adresować należy: **ulica Chmielna N. 20** dokąd redakcya przeniesioną zostanie.

Przyjaciela Dzieci Nr. 25 wyszedł z druku i zawiera:

Stanisław Koniecpolski. — Niebo (wiersz). — Pogadanka z Ojcem (z drzeworytem). w Dodatku: Z opowiadań pana Stefana (z drzeworytem). — Dziecię i motylki (wiersz). — Przygody Janka i Marylki. — Janinka (wiersz). — Miły poranek.—Gajówka Rudzik (z drzew).

Prenumerata wynosi kwartalnie:

w Warszawie kop. 75 — z przesyłką pocztową rs. 1.

Adres: Do **J. K. Gregorowicza.** *Ulica Elektoralna Nr. 779 (nowy 41).*

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава, 9 (21) Іюня 1878 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Elektoralna N. 758 (28).

Opis do N. 22.

(Dokończenie).

N. 43. Ubranie do jazdy konnej.

Krój amazonek małej ulega zmianie, zależącej na trochę innej form* kołnierza, rękawów i baskiny u stanika, najwłaściwszym zas materyałem jest na dni chłodne sukienko a na gorące materye wełniane, w kolorze czarnym ciemno-zielonym lub granatowym. Na modelu zwierzchni szew wązkich rękawów ozdobiony był szmuklerskiemi guziczkami, mankiety i kołnierz złączony puklami ze wstążki, miały wypustki jedwabne. Rękawiczki duńskie bez sztylp, kapelusz czarny słomkowy, woalik z niebieskiej gazy.

N. 44—47. Kołnierzyk i mankiety płócienne, ozdobione kwadracikami płóciennemi łączonemi kratką.

Kołnierzyk ma z przodu 10 z tyłu 7 cent. szerokości, licząc w to już i skośny 3 cent. szeroki pasek przyczepiony kratką do kołnierzyka, który w rogach ozdobiony jest jednym kwadratem haftowanym lub wyszytym kolorowo krzyżykami i dwoma kwadratami złożonemi z 9-ciu maleńkich kwadracików płóciennych, złączonych kratką, których próbkę naturalnej wielkości, podajemy na ryc. 47. Odpowiednie do kołnierzka mankiety wywijane na rękaw, a wszyte w pasek 3 cent. szeroki, podajemy na ryc. 45 i 46.

N. 48. Poduszeczka do szpilek. Haft kolorowy na adamaszku.

Ośmio-kątna poduszeczka trzymająca 14 cent. w kwadrat, osadzona jest na postumencie z trzech krzyżujących się prencików bronzowych (12 cent. wysokich), w środku niby łańcuszkiem związanych.

Wierzch poduszeczki pokryty jest adamaszkiem w różno-kolorowy deseń, którego kontury wyszyte są jedwabiami oepowiednich kolorów. Czarna jedwabna $4^1/_2$ cent. szeroka frendzla, ozdobiona w odstępach kolorowemi grelotkami; przymocowana jest w koło poduszeczki bronzową listewką.

N. 49. Ubranie strojne.

Suknia z jasnej materyi faille, z kirasowym stanikiem wyciętym w karo, ubranym sutą riuszą ze strzępionej materyi i koronką. Ma przkd ułożony w kontrafałdy, z boków, ozdobiony ranwersami oszytemi koronką, które zachodząc na bryty boczne poprzecznie przymarszczone i z przodu złączone kokardą, imitują tren oddzielnie dodany. Przód sukni oszyty wązką frendzlą i plisowaniem, tylne zaś i boczne bryty dwoma plisowanemi falbankami i riuszą strzępioną.

Opis do N. 23.

N. 1. Deseń do wywodzenia na tiulu.

Odpowiedni na tło firanek lub na serwetki do mebli, wywodzi się na grosbotowym tiulu grubą niekręconą bawełną.

N. 3—8. Pończoszki ażurowe dla dzieci.

Na ryc. 3—5 przedstawiliśmy pończoszki ażurowe trojakiej długości; jedne podług zwyczaju angielskiego sięgają aż za kolana inne zwykłej długości do kolan lub też krótkie nie dochodzące do majtek. Wzory roboty na drutach na ażurowe tło pończoch i na szlaki podają ryciny 6 do 8.

N. 9—13. Trzewiki i buciki dla dzieci.

N. 14—15. Sukienka z paletocikiem, dla małego dziecka. Krój sukienki na arknszu N. V, Fig. 15—18. Krój paletocika N. VI, Fig. 19—24.

Odszyta jest z niebieskiego kaszmiru i przybrana pli-



N. 1—3. Ubrania letnie.

N. 1. Ubranie spacerowe. Krój mantyli podług ryc. 8—9 w N. 19. N. 2. Ubranie domowe. N. 3. Ubranie domowe z vêtement.

sowaniem kaszmirowem, wypustką i plisami z niebieskiej materyi; przy materyale do prania zamiast plis można dać szydełkową lub nicianą koronkę. Fig. 15 załącza krój przodu sukienki wraz z napierśnikiem, który potrzeba krajać oddzielnie i z prawej strony zeszyć z sukienką, z lewego boku zapinać na guziki kryte; w tym celu daje się przy napierśniku od spodu listewkę z dziurkami a brzegiem przodu guziki. Plecy założone są w trzy dontrafałdy podłuw krzyżyków i kropek oznaczonych na Fig. 17, pouiżej stanu zamocowane są szwem a dalej aż do dołu wolno puszezone. Na 9 cent. poniżej pachy na szwach bocznych wszyte są szarfy po 17 cent. szerokie i 70 cent. długie. Paletocik podszyty białym kaszmirem dopasowywa się podług Fig. 19—24; ponieważ zapinany jest z boku więc marynarski kołnierz tylko do połowy wszywa się w wykrój szyi a z drugiej strony brzeg górny wszyty w listewkę. Kieszenie mają wykłady jedwabne.

N. 16. Łóżeczko z firanką.

Na rycinie 16 podaliśmy zasłane i ozdobione firanką łóżeczko, dla dziecka które opuściło już kolebkę i może w niem sypiać do lat 6 lub 8. Ozdobne łóżeczko toczone jest z drzewa orzechowego i liczy 112 cent. długości a 58 cent. szerokości. Od strony wewnętrznej boki łóżeczka powleczone są fałdowaną materyą, z nagłówkiem 6 cent. szerokim wyciętym w ząbki. Łóżeczko zasłane jest dwoma materacami z których spodni wypchany trawą morską a wierzchni włosieniem. Kołderka z niebieskiego kaszmiru; z tego samego materyału dodana firanka oszyta plisowaniem i wszywką koronkową; brzegi plisowania u góry i u dołu zakończa koroneczka; zamiast wszywki piękne przyozdobienie stanowi haft ściegiem krzyżykowem niebieską filozelą w dwóch cieniach. Brzegi kołderki także otacza falbanka, środek ozdobiony haftowanym monogramem. Na firankę potrzeba kawałka materyału 152 cent. długiego a 172 szerokiego; falbanka plisowana liczy 11 cent. szerokości; układ i górne przybranie wskazuje rycina 16; sute kokardy z wstążki repsowej 7 cent. szerokiej.

N. 19. Kokarda do kołnierzyka i do głowy.

Alzacki układ kokard ciągle utrzymaje się w modzie; na rycinie 19 widzimy kokardę do kołnierzyka i do głowy ułożoną z wstążki atłasowej czarnej i blado-niebieskim spodem. Dwa górne pukle z wstążki 6 cent. szerokiej są po 11 cent. długie, pod niemi dane po cztery pukle z wstążki tylko $2^1/_2$ cent. szerokiej, stopniowanej długości od 10 do 7 cent., złożone w ten sposób, że spód niebieski widać prawie na 1 cent. szeroko; węzeł dany z wstążki. Kokarda do kołnierzyka ma układ trochę odmienny, jak to widać na rycinie 19; jedna połowa liczy cztery pukle stopniowej długości od 12 do 10 cent. druga składa się z pukla szerokiego 11 cent. długiego i z końca 15 cent. długiego.

N. 20. Chusteczka z krepy i koronki.

Podstawę chusteczki stanowi kołnierz z tyłu 8 cent. długi z przodu podłużnie otwarty, ukrojony ze sztywnego muślinu, na którym przyszyte są falbanki z białej krepy haftowanej kolorowo i z walansjenki falbanki liczą 5 i 6 cent., koronka zaś $2^1/_2$ i 4 cent. szerokości; wykrój szyi otoczony wązką koronką i drobniutkiem plisowaniem. Z przodu przy zapięciu spuszczony żabot, ułożony na kawałku tiulu 18 cent. długim; wstążka atłasowa 2 cent. szeroka.

N. 21—22. Chusteczka z podwójnym kołnierzem. Krój na arkuszu N. III, Fig. 12.

Kraje się z białego muślinu podług Fig. 12, z przodu ma końce lekko przewiązane; brzegi oszyte koronką 4 cent. szeroką po nad którą w odstępie 1 cent. dana wszywka $1\frac{1}{3}$ cent. szeroka. Przez takie same naszycie dane w miejscach oznaczonych cienką linią na Fig. 12 tworzy się jakby podwójny wykładany kołnierz.



N. 5. Czepeczek na rano muślinowy.

N. 24 — 25 tudzież ryc. 17—18. Fartuszek bluzkowy dla małej dziewczynki. Krój na arkuszu N. IV, Fig. 13—14.

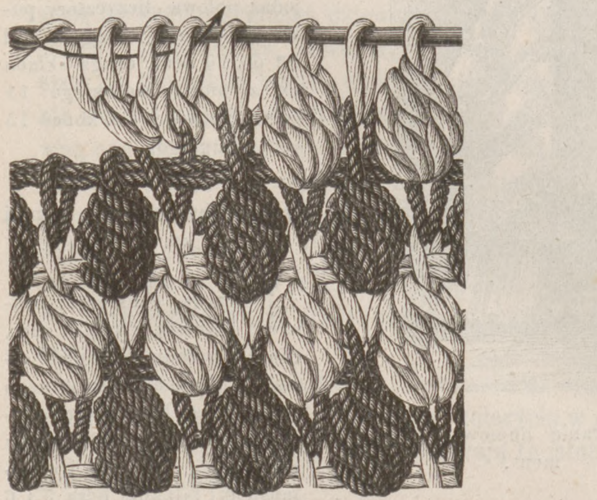
Przody i plecy fartuszka łączą się na ramionach szwem od T—U, w pasie zaś podszyta jest listewka do marszczenia dochodząca z przodu tylko do napierśnika odznaczonego przybraniem. Rycina 25 przedstawia z przodu fartuszek z cienkiego szyrtingu, ozdobiony haftowaną wszywką 2 cent. szeroką i falbanką 3 cent. szeroką oszytą z brzegów koronką nicianą. Na ramionach kokardy z kolorowej wstążki. Zamiast oszycia z koronki można wyhaftować falbaneczkę podług ryc. 17. Fartuszek ryc. 24 ozdobiony szlakiem wyszytym kolorową bawełną podług ryc. 18.

N. 26. Fartuszek z napierśnikiem. Krój na arkuszu N XV, Fig. 60—61.

Uszyty z granatowej weby ma brzegi zakończone pliską z białą wypustką, środkiem pliski dany haftcik bawełną ponsową. Napierśnik przytrzymany jest dwoma paskami, krzyżującemi się na piersiach i przypiętemi w pasie; górny brzeg fartuszka wszywa się w podwójny pasek, w który wsunięty jest brzeg napierśnika od dwukropka do gwiazdki.

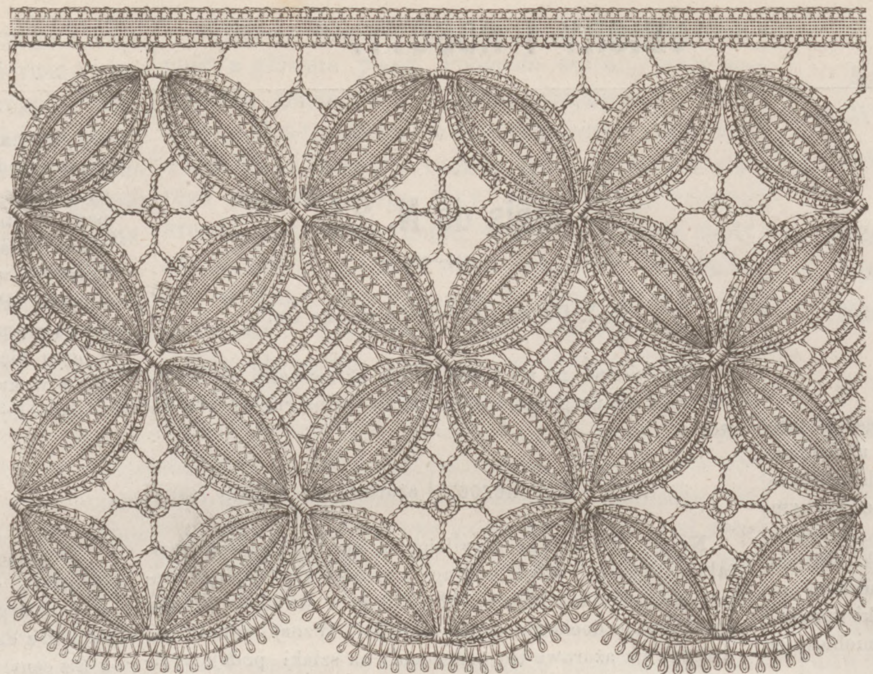
N. 27—28. Ubranie spacerowe. Krój na arkuszu N. I, Fig. 1—9-a i Fig. 10.

Każdy letni materyał odpowiedni jest na to ubranie złożone ze spódnicy, tuniki i paletocika. Wszystkie części

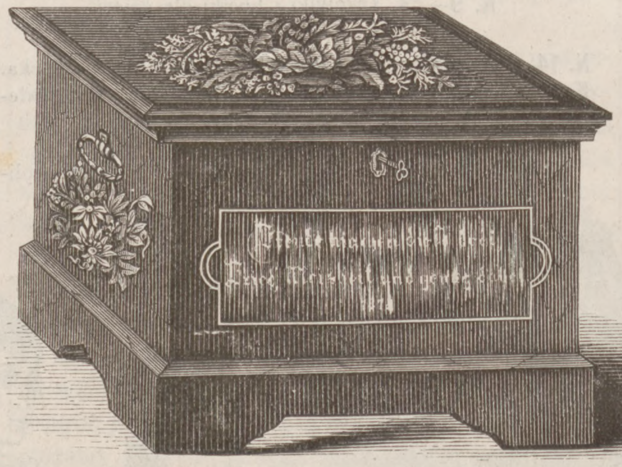


N. 12. Próbka roboty szydełkowej na kołdrę do kolebki lub podróżną.

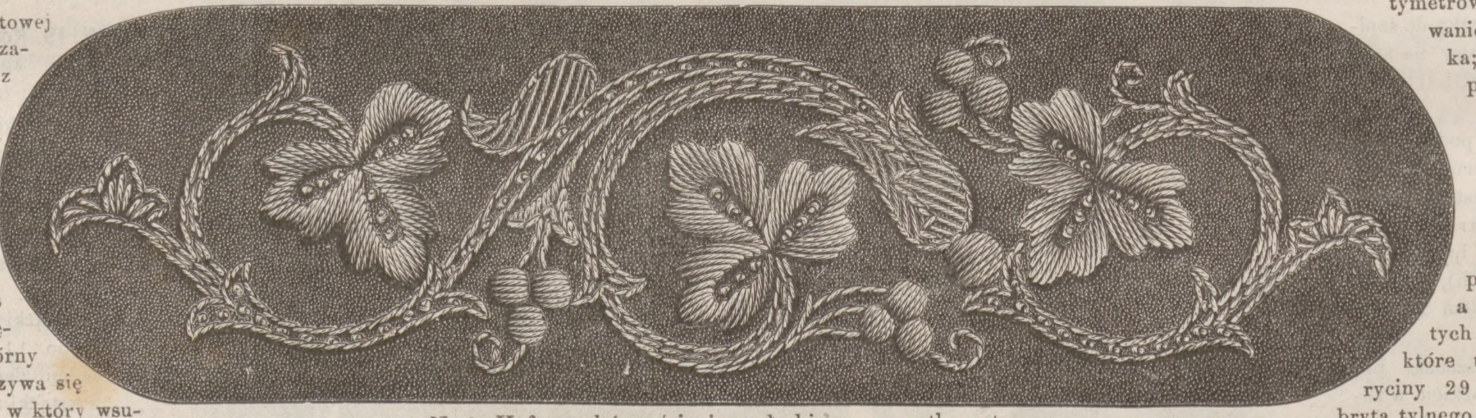
formy łączą się podług odpowiednich liter i zmniejszonego formatu kroju Fig. 1-a—9-a; Fig. 10 podaje w zmniejszeniu krój tuniki, z wypisaniem miar i oznaczeniem fałd. Z dwoma brytami bocznemi zfałdowanemi do 80



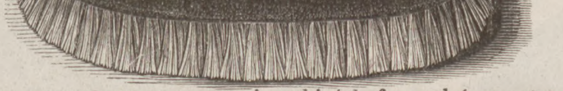
N. 4. Irlandzka koronka do przybrania sukien letnich chusteczek i t. p.



N. 7. Kasetka malowana na drzewie.



N. 9. Haft na skórze ściegiem płaskim na szczotkę patrz ryc. 8.



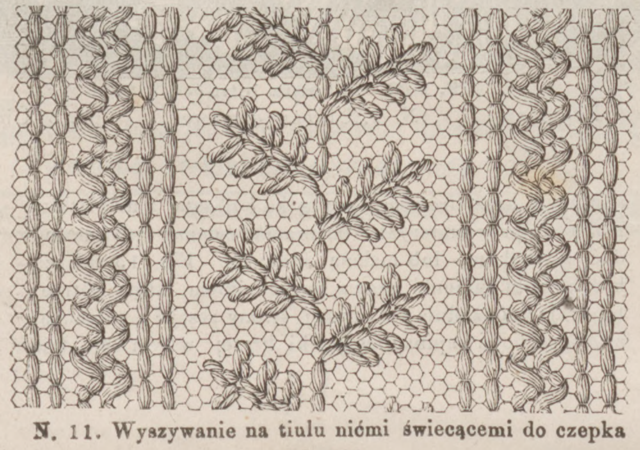
N. 8. Szczotka do czyszczenia sukień haft na skórze patrz ryc. 9.



N. 10-a. Ząbki wywodzone na tiulu do czepka rannego.



N. 10-b. Ząbki na tiulu wywodzone do czepka.



N. 11. Wyszywanie na tiulu nićmi świecącemi do czepka na rano.

cent. łączy się bryt tylny c, przyszyty z jednej strony gładko aż do dwukropka, z drugiej podług Fig. 10 fałduje w miejscu oznaczonem kropkami i krzyżykami, i zachodzi na wierzch klina bocznego pasując gwiazdką do gwiazdki. Ryciny 27—28 przedstawiają przód i plecy sukni z gładkiego lub deseniowego letniego materyału. Na ryc. 27 przyozdobienie stanowią galony naszyte nad plisowaniem 6 i 9 cent. szerokiem; paletocik przyciśnięty paskiem, zapiętym klamrą metalową. Suknia z granatowego perkalu podana na ryc. 8 oszyta jest 2 szeroką irlandzką koronką i wstawką, u dołu spódnicy dane plisowanie 14 cent. szerokie. Kapelusz do spacerowego ubrania z tego co suknia materyału z tiulowemi końcami, wstążką repsową i gałązką białych kwiatów.



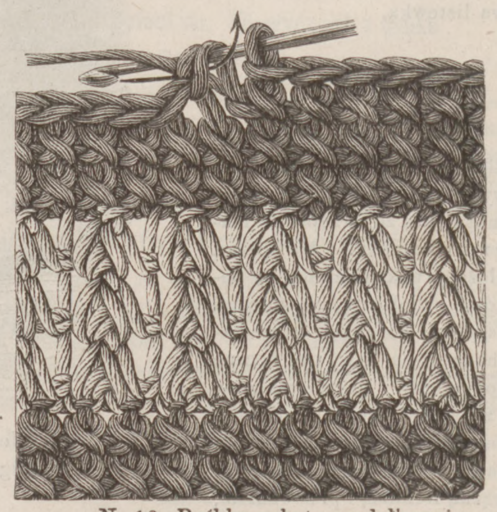
N. 6. Czepeczek na rano z wywodzonego tiulu. Zob ryc. 10-a—10-b i 11.

N. 29. Suknia princesse z białego muślinu.

Przybranie sukni u dołu stanowią plisowane falbany oszyte koroneczką, z przodu po 10 cent. szerokie z tyłu rozszerzające się do 30 cent.; po nad falbanami dana wszywka i koronka. Rękawy sięgające do łokci oszyte 7 cent. szeroką koronką i plisowaniem 11 cent. szerokiem. Podłużny wykrój szyi otacza 5 centymetrów szerokie plisowanie, koronka i wszywka; zapięcie sukni z przodu przysłonięte jest wachlarzowo fałdowaną koronką spuszczoną aż do dołu. Draperya ułożona jest z dwóch brytów po 97 cent. długich a 78 szerokich, ściętych skośno ku górze, które upinają się podług ryciny 29 i dochodzą aż do bryta tylnego.

N. 30. Suknia z vêtement.

Ciemny i jasny kreton stanowi materyał na to ubranie; spódnicę zdobi plisowanie 9 cent. szerokie na które spada falbana marszczona 13 cent. szeroka, oszyta nicianą

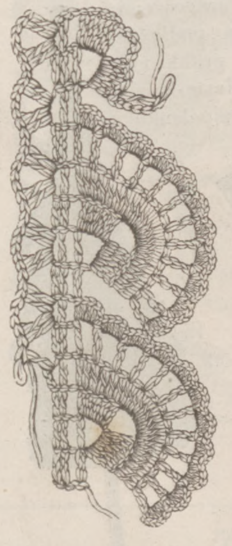


N. 13. Próbka roboty szydełkowej na kołdrę.

koronką 5 cent. szeroką. Vêtement z plastronem wzdłuż przodów zdobne jest 6 cent. szeroką plisą i koronką. Kapelusz odpowiedni do sukni.

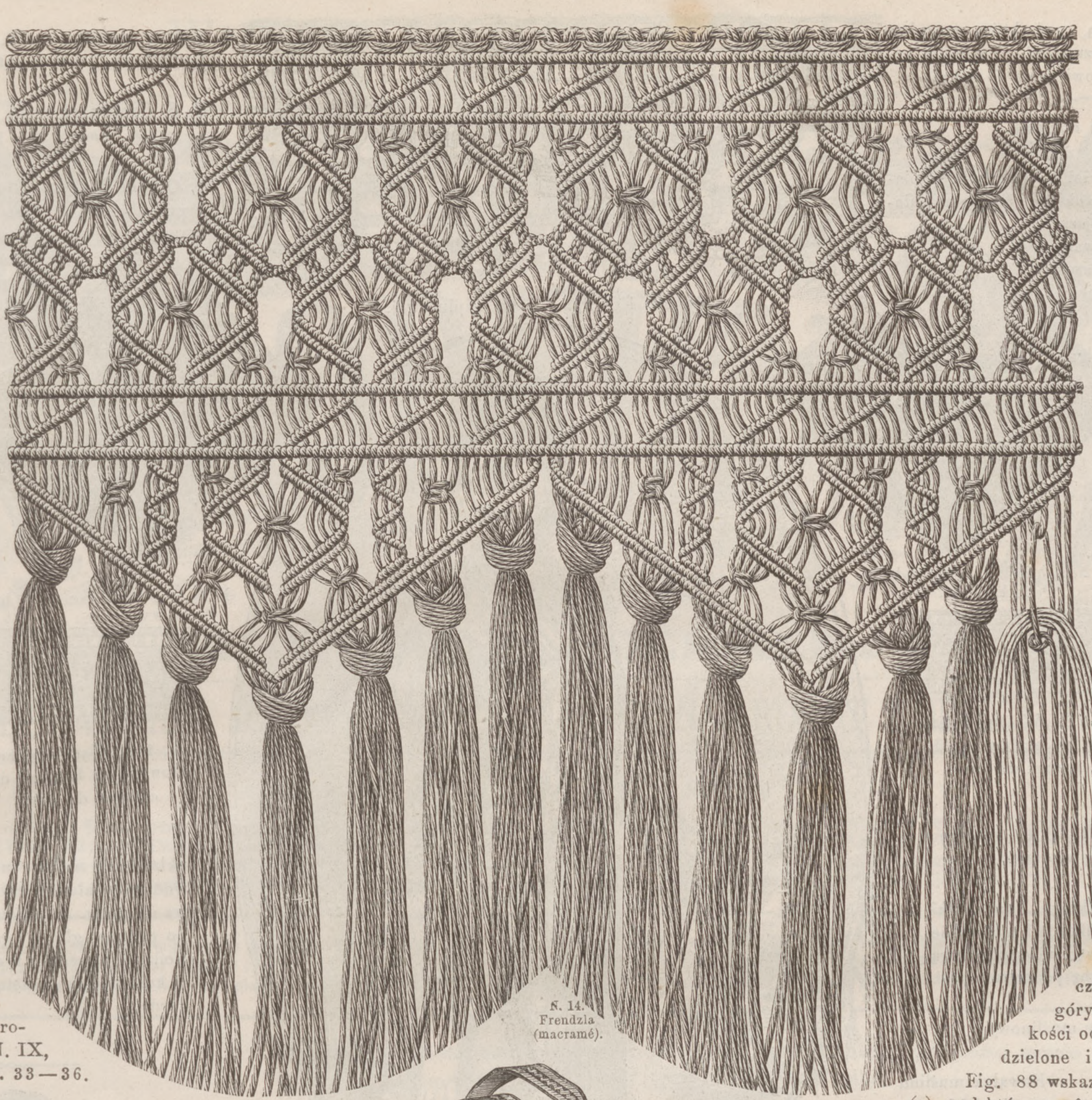
N. 31. Paletocik zdobny frendzlą.

Paletocik ten zapina się wzdłuż przodu na kryte haftki; odszyty jest z czarnego kaszmiru i ozdobiony kamizelkowym wykładem



N. 14. Ząbki robotą szydełkową.

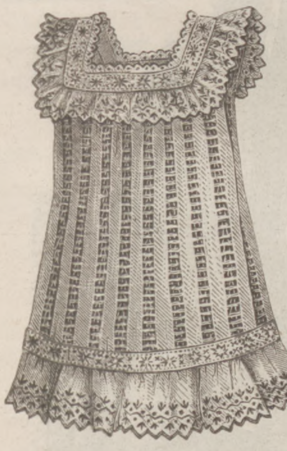
z jedwabnego repsu od góry przypiętym na guziki; mankiety przewleczone wstążką 4 cent. szeroką. U dołu paletota dane trzy rzędy jedwabnej kwaścikowej frendzli.



N. 14. Frendzla (macramé).

N. 36—37. Neseser do robót. Krój na arkuszu N. IX, Fig. 33—36.

Neseser dający się rozłożyć lub zwinąć i zapiąć nakształt torebki, ma wewnątrz do denka przyszyte dwie kieszonki i listewką przedzielaną stębnówką, za którą wsunięte są przybory do szycia. Fig. 33—35 podaje krój części neseseru, które składają się z sobą podług odpowiednich liter.



N. 19. Fartuszek bluzkowy dla dzieci. Deseń do wyszycia ryc. 32 w N. 26.

N. 38. Torebka na drobiazgi.

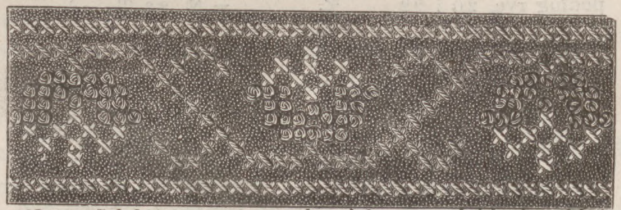
Uszyta z granatowego płótna i ozdobiona pasami wyszytemi ściegiem krzyżykowym; brzegi otacza gruby sznur kręcony.

N. 39—40. Koronka do chustek od nosa. Robota ręczna. Deseń Fig. 42—42-a na arkuszu.

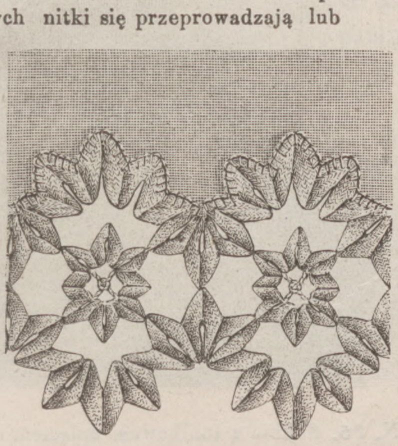
Od dawna już podajemy wzory koronek nicianych robionych ręcznie i w roku przeszłym podaliśmy szczegółowo opis wykonania tej roboty, która wymaga wielkiej wprawy i akuratności. Dla braku miejsca nie podobna nam przy każdym wzorze powtarzać opisu roboty, więc tylko załączyliśmy na arkuszu z krojami (pod Fig. 42 dokładny powiększony deseń koronki z oznaczeniem kropkami szpilek koło których nitki się przeprowadzają lub zaczynają, jak to wzor objaśnia. Do tej koronki potrzeba 84 czółenek i 8 dla dopełnienia narożnika; nici koronkowe N. 80; kawałek tekturki nacięty kilka razy (jak to rycina 39 wskazuje) służy do założenia nitek aby się nie skręcały z sobą podczas roboty. Robotę muszek na tle koronki objaśnia ryc. 39.



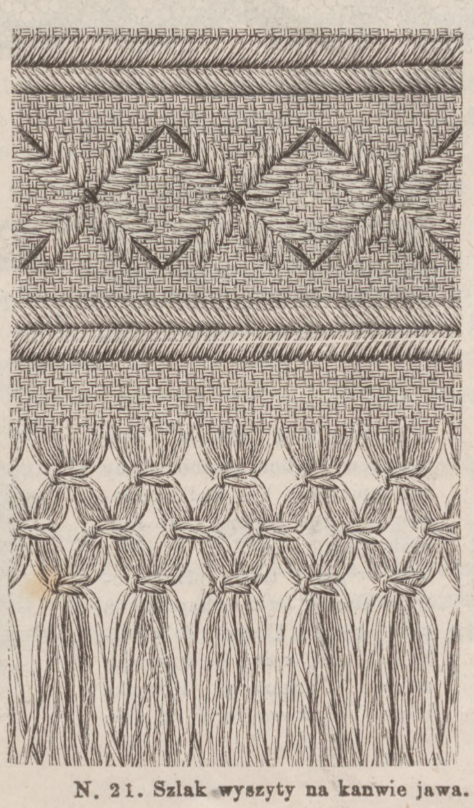
N. 17. Torba podróżna na pled i t. p. przedmiota.



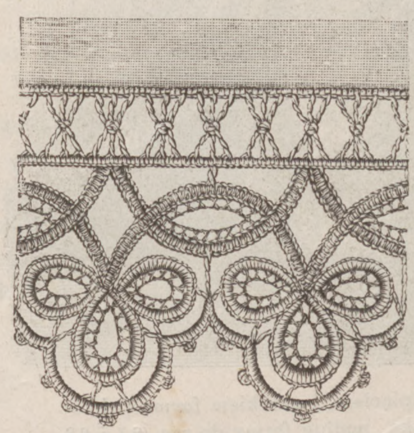
N. 18. Szlak wyszyty krzyżykami do przyozdobienia sukien.



N. 22. Obszycie do sukien letnich.



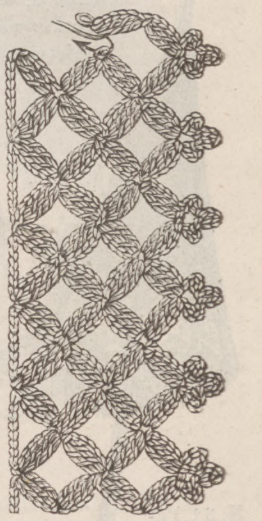
N. 21. Szlak wyszyty na kanwie jawa.



N. 23. Koroneczka z mignardisse. do obszycia sukień letnich.

N. 41—42. Suknia z vêtement. Krój vêtement na arkuszu N. XXVI, Fig. 88.

Ryciny 41 i 42 przedstawiają przód i plecy letniej sukni, z odmiennym przybra-



N. 15. Ząbki robotą szydełkową.

niem spódnicy i rękawów. Model był z piaskowego mohairu i materyi faille, przybrany plisowaniem 7, 6 i 3 cent. szerokiem; przez środek pleców dane naszycie z materyi; zakończone u dołu w pukle, liczące u góry 12, w pasie 7 cent. szerokości od wcięcia stanu pukle są rozdzielone i mają po 9 cent. szerokości. Fig. 88 wskazuje krój vêtement; plastron (a) pod którym vêtement zapina się z boku na haftki, jest oszyty plisowaniem i przytwierdza się wzdłuż przodów na 94 cent.; przody od dołu są nadmarszczone. Plecy (c) są z krótszego brzegu zmarszczone do 73 cent. i zszyte z przodem, z drugiej zaś strony oszycie sięga w górę na 74 cent. i tylko dotąd plecy łączą się z przodem. Od spodu plecy dopełnione są brytem (d) od dwukropka do gwiazdki, górny brzeg bryta złożony w fałdy oznaczone na kroju i wszywa w pasek, jedna strona i brzeg dolny zakończony przybraniem, a z drugiej strony bryt zszywa się z przodem. Układ vêtement wskazuje rycina 41.

N. 43. Szlak do sukień letnich, serwet. Deseń na arkuszu Fig. 41.



N. 20. Sukienka dziecinna z wykrojem kwadratowym. Patrz ryc. 38 w N. 26.

Opis do N. 25.

N. 1—3. Ubrania letnie.

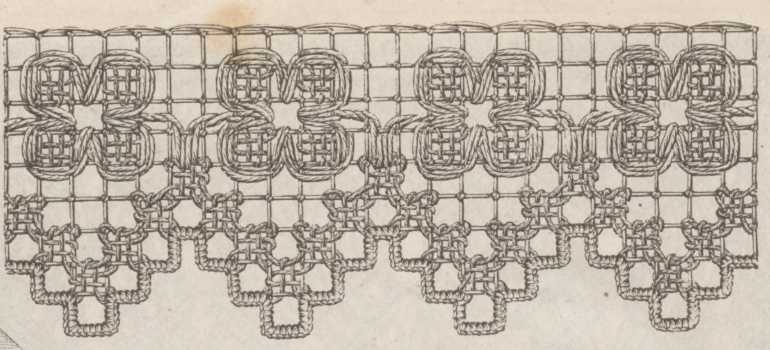
N. 1. Ubranie spacerowe. Krój mantyli podług ryc. 8—9 w N. 19.

Suknia i mantyla z jasno-popielatego beżu, mają garnirunek z tego samego materyału, z wypustkami z materyi. Plecy mantyli naszyte są 1 cent. szeroką jedwabną plecionką albo torsadą popielatą, a u dołu oszyte bardzo

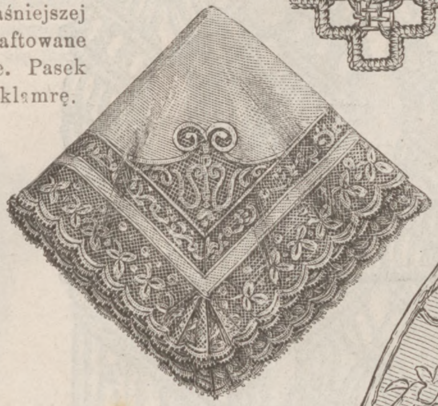
szeroką jedwabną frendzlą, pod którą przypięta szarfa ze wstążki 17 cent. szerokiej. Parasolik popielaty z garnirunkiem odpowiednim do sukni.

N. 2. Ubranie domowe.

Przy sukni princesse z niebieskiego zefiru, plastron z przodu, kołnierz, mankiety i falbanka u dołu są z jaśniejszej materyi, haftowane w maszynie. Pasek zapięty na klamrę.



N. 24. Koronka z siatki gipiurowej.



N. 25. Chustka do nosa ozdobiona koronką.



N. 31. Parasolik oszyty koronką irlandzką.



N. 27. Wstawka haftowana na batyście do chustek do nosa.

N. 3. Ubranie domowe z vêtement.

Zrobione z kretonu gładkiego i w paski. Garnirunek stanowią plisy skośne i plisowanie, oszyte koronką warsztacikową lub szydełkową. Vêtement tylko z boków trochę podpięte.

N. 5. Czepeczek ranny muślinowy.

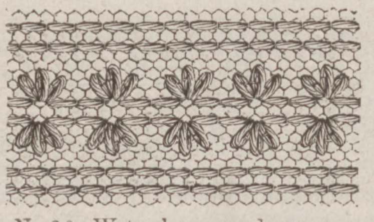
Kawałek muślinu trzymający 30 cent. w kwadrat, w trzech rogach trochę zaokrąglony, w koło oszyty koronką 4 cent. szeroką, stanowi czepeczek, któren układa się na pasku ze sztywnego tiulu (52 cent. długim z tyłu zeszytym) w ten sposób ażeby róg szpiczasty był gładko przyczepiony nad czołem, dwa rogi zaokrąglone odwinięte są z boków w górę, trzeci przyfałdowany stanowi z tyłu karczek 8 cent. szeroki. Ubranie ze wstążki i koronki upina się w sposób na ryc. 5 wskazany. Koronka może być wywodzona na tiulu podług próbki ryc. 29, albo irlandzka odrobiona podług ryc. 19 w N. 26 Tygodnika.



N. 33. Chusteczka z muślinu i koronki. Krój podług ryc. 20 i 22 w N. 23 Tygodn.



N. 29. Koronka, wywodzona na tiulu.



N. 30. Wstawka wywodzona na tiulu.



N. 34. Suknia z tunikowem upięciem, i stanikiem formą paletocika. Przód. Krój paletocika podług formy do ryc. 27 i 28 w N. 23.

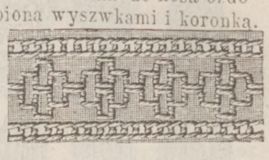
N. 6. Czepeczek ranny z wywodzonego tiulu. Zobaczyć ryc. 10-a, 10-b, i 11.

Owalne denko z tiulu grosbotowego mające 38 cent. długości a 33 szerokości, kraje się w podłuż i ceruje nićmi płaskiemi, świecącemi, w pasy podłużne, podług próbki ryc. 11. Następnie denko układa się w koło w równe małe fałdki, przyszywa do paska dopasowanego podług głowy, garniruje kriuszą z tiulu wywodzonego podług ryc. 10-*a* lub 10-*b* i cpasuje w koło wstążką upiętą nad czołem i z tyłu w kokardę.

(D. n.).



N. 26. Chustka do nosa ozdobiona wyszwkami i koronką.



N. 28. Wstawka haftowana na batyście do chustek do nosa.



N. 32. Parasolik oszyty frendzlą macramé.



N. 35. Suknia z tunikowem upięciem i stanikiem formą paletocika — tył.